Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA:
10 marek, 6 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI
z początkiem każdego miesiąca.

Z Podola roku 1889.

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

Gdzie się poczyna właściwe Podole? Trudno dziś oznaczyć. Po rozbiorze Polski, przy podziale pomiędzy Rosyę i Austryę, zaszły, jako wynik naturalny, pewne przemiany granic, skutkiem rozdrobnienia województw lub ziem całych. Pewna część bowiem któregoś z województw lub ziem przypadła Austryi, a w drugiej części dostała je Rosya. Galicya wogóle dziwnym trafem składa się z samych okrawków dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Austrya posiada część województwa Bełzkiego, nieco Hrubieszowskiego, potroszę Lubelskiego, dalej cząstkę Polesia z leśną i moczarną okolicą Mostów Wielkich, Dobrotworu, Kamionki Strumiłowej i t. p. miejscowości. Dalej część Wołynia, która za dawnej Rzeczypospolitej polskiej docierała aż po Busk, Sassów, Biały Kamień, a nawet Złoczów. Podola zrazu całkowicie Austrya nie posiadała. W kilka lat dopiero, za porozumieniem się obu państw t. j. Rosyi i Austryi, nastąpiła t. zw. „rektyfikacya", czyli dobrowolna zamiana. Cesarstwo rosyjskie odstąpiło Austryi część Podola od rzeki Zbrucza aż po Tarnopol, biorąc za to w zamian całe niemal województwo Lubelskie, większą część Chełmskiego i Hrubieszowskiego.

Skutkiem tych przemian i pierwotnego podziału, zatarły się dawne rozgraniczenia pomiędzy województwami i ziemiami. Nowo sporządzone mapy inne przedstawiają kształty przestrzeni, różnym państwom przypadłych. Dawne mapy z czasów przedrozbiorowych, nie nader licznie były sporządzane, a i te po części zniszczały w rękach prywatnych lub jak prawdziwe „białe kruki" mieszczą się gdzieś po archiwach, do których znowu przystęp nie byle komu możliwy. Nazwy zatem, a względnie dawne rozgraniczenia pojedynczych ziem lub województw, istnieją teraz już tylko w tradycyi.

Tradycya wskazuje, że granicę pomiędzy Wołyniem a Podolem stanowiła niegdyś rzeka Seret. Cała przestrzeń po lewym brzegu Seretu, po wieś Iwaczów górny, zwała się Podolem. Niektórzy nawet twierdzą, że słup kamienny, około dwu metrów wysoki, a pół metra szeroki, czyli gruby, jest słupem wskazującym granice obu tych ziem. Archeologowie

twierdzą przeciwnie, mieniąc słup ten, który, jak starzy ludzie mówią, za ich jeszcze pamięci był znacznie grubszy, bożyszczem starosłowiańskiem, noszącem nazwę „Baby“. Z mojej strony twierdziłbym, że słup w Iwaczowie górnym prędzej jest starożytnym słupem granicznym, niżeli „Babą“. Jakkolwiek bowiem głazy wiele przetrwać zdołają, jednakowoż przez lat tysiące, wystawione na wszelkie zmiany klimatu, niezdołałyby oprzeć się zniszczeniu.

Sąd o tem pozostawiam uczonym. Sam trzymając się dawnej tradycyi, począłem wędrówkę nie koleją żelazną, albowiem z okien wagonu nic dostrzec nie można, tylko obyczajem turysty, któremu już do dalszych wycieczek nogi nie dopisują, wózkiem, a czasem wierzchem.

Przed laty 35-ciu mieszkałem lat parę w okolicy Zborowa, lecz nie nadarzyła mi się sposobność, zagłębić się dalej w okolicę jak do Tarnopola, i to jedynie bitym gościńcem jadąc. Wzgórza, jary, wąwozy co chwila. Czyż to ma przedstawiać Podole? Chyba że nie! Gdzieś musi być okolica potoczysta, równa, stepowa, pomyślałem. Nie nadarzyła mi się wonczas sposobność do zaspokojenia mojej ciekawości — aż po latach wielu, u schyłku życia. A no, proszę czytelnika do tej prawdziwie dziadowskiej podróży, od wsi do wsi, od miasta do miasta. A od jednego do drugiego nie blisko.

— Jak daleko — pytam — z Tarnopola do Załoziec?

— A będzie ze trzy mile.

Jadę, jadę, jadę — jak mówią w bajkach — a tu ani widać Załoziec. Po trzygodzinnej jeździe, pytam ponownie:

— Jak daleko do Załoziec?

— A będzie dobre dwie mile jeszcze.

Zapomniałem, że to podolskie mile.

Nie narzekałem jednak na te ogoniaste mile. Okolica, którą jechałem, prześliczna. Droga od Tarnopola wiedzie doliną, środkiem której, wije się w mnogich zakrętach, spokojnie płynący Seret.

Źle się wyraziłem, nie doliną płynie Seret. Jest to raczej jeden z tysiąca parowów, którymi całe Podole poprzerzynane. Srodkiem płynie Seret, o płaskich, moczarnych brzegach. Miejscami wody jego ujęto w tamy, co tworzy stawy, jakich już w Galicyi nie wiele. Na całej, blisko 7-milowej przestrzeni, od Tarnopola do Załoziec, utworzono z wód Seretu olbrzymie stawy, jak Tarnopolski, Czernichowski, Wertełecki i Załoziecki.

Na wysokich, lecz nie nader spadzistych, naturalnych brzegach rzeki i stawów, obyczajem podolskim dość gęsto rozsiadły się wsi i niektóre miasta, a wszystko to dla wody, której na całem Podolu w ogóle niewiele.

Podole, to kraj więcej górzysty, a względnie wałowaty, poprzerzynany mnóstwem większych lub mniejszych, zawsze suchych parowów, z wyjątkiem, gdy przez nie rzeka płynie. Mniejszych potoków, „rudek“, moczarków, całkowicie nie ma. W czasie wiosennego tajania śniegów, lub po gwałtownej ulewie, płyną tamtędy bystre, lecz mętne i niedługo trwałe ruczaje.

W ogóle, te gęsto wijące się jarki i parowy, podobne są do krętych a mnogich ulic i uliczek, któremi poprzecinane miasto, osobliwie staroświeckim budowane stylem.

Po stajaniu śniegów lub ulewie, po niedługim czasie i na grzbietach wzniesień, na których ciągną się światu znane podolskie chlebne pola — i na wzgórzach i w jarach sucho jak na zapiecku. Na kilkunastomilowej przestrzeni, będącej właściwem Podolem, większe kompleksa lasów posiada chyba właściciel klucza Płotyckiego, p. Juliusz Korytowski. Lasy te, przeważnie dębowe, z przymieszką samorodnie rosnącej grabiny, jesionów i brzostów; są i mnogie zagajenia sośniny, przed laty snać posadzonej, bo smukłej a wysokiej. Niemniej są i znaczne przestrzenie, zagajone sadzonkami modrzewi, sosen i świerków. Na tłustym podolskim gruncie wyprowadzić dzieci jałowych gór lub piasków, jak świerki i sosny, to już sztuka nielada. Samouczek leśniczy tego nie dokaże, do tego potrzebna wyższa nauka leśnictwa.

Zagajenia wspomniane mogą liczyć po 3 do 4 lat, więc są dziełem p. Szwestki, nadleśniczego klucza Płotyckiego.

Zagłębmy się jednak w las, celem użycia chłodu, bo skwar lipcowy dobrze doskwiera — no i dla przekonania się, czy p. Szwestka tak jest łaskawym dla starodrzewia, jak dla przez się założonych zagajeń.

Ależ to bór! Dęby olbrzymy, mimo wieku sędziwego, prosto się trzymają. To prawdziwy, jak go w niektórych okolicach nazywają „gdański materyał“. Pnie ich gładkie, bez tak zwanych „gutali“, czyli narości większych rozmiarów, czem się cechują dęby lasów, które niepokoją ludzie, lub pasące się bydło. Nie będąc leśnikiem, trudno mi orzekać o wieku tych na znacznej i zwartej przestrzeni rosnących dębów, ale zdaje mi się, że pamiętają jeszcze pra-pradziada rodu Korytowskich.

Pan Juliusz Korytowski wiernie trzyma się tradycyi swych naddziadów: „Nie sprzedawać drzewa z swego lasu chociażby na wagę złota“. Ach, gdybyż więcej takich było, nie świeciłoby Podole, jak obecnie, pustkami. Że dawniej i po wyżynach szumieć musiały lasy, świadczą tu i tam na stokach jarów rozsiane rzadkie i koszlawe dąbrówki. Ztąd owe niemal bezprzestanne wiatry, które, gdy zachodnio-północne, jeszcze pół biedy, bo sprowadzają deszcze. Lecz wschodnio-północne t. zw. „Czarnomorskie“, to już długotrwała posucha, „zapala“, jak mówią, osobliwie pszenicę, że ziarna jej nikłe, „korytkowate“.

Po nagich wyżynach hulające tu wiatry, niemniej zabójczo działają na rozrost owych dąbrówek lub gaików. Wszystkie one wyglądają pokręcone jak paralityki, a rzadkie, niczem nie podszyte. Jakkolwiek bydło tam nie chodzi, nawet niewybredna leszczyna się nie zasieje. Przypuśćmy, gdyby ktoś, nie szczędząc znacznych wkładów, zechciał zagaić niektóre stoki jarów, wątpię, żeby mu się to udało. Wichry szalone wytępią sadzonkę, kulturą z posiewu prowadzoną.

Raz do szczętu wycięty las, już zda mi się nigdy na Podolu nawet z pnia się nie odrodzi. Wątłe odrośle słońce wypali, a wiatry, jak to mówią, „wysmalą“.

Lasy własności pana Juliusza Korytowskiego, tak las „Czernichów“ jak i „Jankowce“ i „Małaszowce“, wszystkie porastają na północnych i południowych stokach wąwozu a względnie doliny, którą płynie rzeka Seret.

Wszystkie one w największym porządku utrzymane, podszyte, skutkiem czego posiadają to, czego w innych majątkach, posiadających lasy, nie ma — t. j. sarny. Żeby się sarny utrzymały, a w dodatku gnieździły, dwa są kardynalne warunki: podszycie i woda. Wszystkie lasy pana Juliusza Korytowskiego gęsto są podszyte. Nie posiadają wprawdzie w swych wnętrzach wody w postaci potoczków, lecz szczęśliwe w pobliżu rzeki ich położenie, sowicie wynagradza sarnom brak wody w ich ostojach. Gdyby nie to, knieje klucza Płotyckiego nie stanowiły by szczęśliwego wyjątku na znacznej przestrzeni Podola. Mówiono mi, że są tam lasy, w których zaledwie zając się utrzyma, a sarn

nie ma całkowicie, bo gdy padnie posucha, i najmniejszej kałużki tam nie ma.

Dzików nikt na Podolu nie pamięta. Niemniej temu przyczyną brak wody, osobliwie bagien, tak niezbędnych dla dzika. W nich się latem chłodzi, a zimą gasi pragnienie. Brakowi temu winno suche położenie kniei. Mimo obfitości żołędzi, dzik instynktem wiedziony, a lubiący i dalsze podróże, nawet z niedalekich lasów Pieniackich nie przywędruje.

Nawet i sarny, jakkolwiek lubią wędrówki, nie przyjdą z innych lasów, bo do tych zbyt daleko, i przejście zimą przez moczarne brzegi Seretu, lub wreszcie przez stawy niemożliwe. Gładka bowiem szyba lodowa jest, jak wiadomo, dla sarn niemożliwą do przebycia.

Każdy właściciel kompleksu leśnego, pragnąc mieć sarny, musi zaprowadzić niejako chów takowych.

Mówiono mi, że przed 4 do 5 laty w rewirze „Czernichów“ było zaledwie 15 sztuk sarn. Dziś w tym rewirze ma być ich do 30. W innych rewirach tego klucza niemniej ma być stan sarn dość zadowalający, a to dzięki racyonalnej gospodarce łowieckiej, jaką w tym majątku prowadzą.

Zajęcy po gajach lub mniejszych kompleksach leśnych, ponieważ lasy dóbr Płotycze w całej przestrzeni około 1400-morgowej, rozdrobione od 500 do kilkudziesięciu-morgowych obszarków, znaczna znachodzić się ma liczba; zwłaszcza, jeśli podszyte i z wszech stron otoczone polami, ściągają do siebie zające. Osobliwie gdy w polach nie masz ani krzaczka, ani miedzy, porośniętej chociażby burzanem, a owe gaiki lub dąbrówki zanadto podkasałe, niczem nie podszyte, więc ich zając nawet na chwilowe miejsce pobytu nie obierze.

Ta nagość pól i zupełny brak podszycia w sadach, dąbrowach i gajach, jest niemal z małym wyjątkiem, Podolowi na mil kilkanaście właściwą. Gdzie spojrzysz nago jak na dłoni, a laski tam i owdzie czerniejące, to jak już wpomniałem, niby budynki nieogrodzone, po których wiatr hula. Ni wiatru, ni śniegowicy nie zatrzymają. A zawieruchy podolskie zimowe w ziemi jak ona wysoko leżącej, żadnem pasmem wyższych gór nieosłonionej, mogą iść o lepsze z zawieruchami górskiemi.

Podole galicyjskie, na całą swą dość rozległą przestrzeń, bardzo mało porasta lasem. Są tam majątki, w których nie ma ani drzewka. Dla tej przyczyny Podolacy, to przeważnie charciarze. A i tam zajęcy ma być niewiele. Niedziw — pola prawie od skiby do skiby poorane. Ugoru pozostawia się tyle, ile potrzeba na pastwisko, a względnie miejsce przechadzki dla bydła. Na polach ani miedzy porośniętej krzaczkami lub t. p. Gdzież się tam zając skryje lub nawet wywiedzie, kiedy przy płodozmiennej rolnej gospodarce, jak cały Boży rok, nie tu to tam pługi ryją i ryją! Nie tak to bywało za dobrych „trzypolówki“ czasów. Burzany i bodiaki gęsto i „w chłopa“ wyrastały na ugorach, w ich wnętrzu nietylko zające, ale nawet i wilki się wywodziły. Smutna konieczność zmusiła podolskich większych i mniejszych właścicieli do tego, że się wyrażę, torturowania pól swoich płodozmianem. Jest on bezzaprzeczenia korzystnym, lecz czy długo jeszcze udawać się będzie sztuka? Zbyt wielka posucha tegoroczna opustoszyła pola nietylko z zajęcy, lecz nawet z przepiórek i kuropatw. Ostatnich zdaje mi się nie ma do zbytku. Zawieruchy śniegowe je wytępią, gdyż nigdzie, dodam z naciskiem, nie ma ani naturalnych schronisk w miedzach porośniętych, a tem bardziej w sztucznych remizach. Dziwić się zaiste wypada. Takie tu obszary rozległe, a właściciele żałują dwu lub więcej morgów, i to małemi cząstkami, dla zasadzenia na nich remiz, aby tem samem uczynić sobie pożytek i przyjemność myśliwską.

Nie myślę krytykować postępowania panów Podolaków, bo „wolnoć Tomku w swoim domku“. Smutno, monotonnie na tych rozległych obszarach. Bezludnie zda się, bo sioła, a nawet pojedyncze folwarki — nazwałbym je futorami — dla wody i osłony przed wiatrami, skryły się po jarach. Bywają też gaiki lub dąbrowy, w których wnętrzu mieszczą się pasieki, o ulach t. zw. „dzierzonach“, mających *antiquo more* emerytów klasy wieśniaczej, czyli dziadków za stróży. A jest w tej pasiece i chatka, stebniczek, kryniczka, i piesek kundelek, nietyle może groźny, ile hałaśliwy.

Ale i te, niegdyś tak obfite miodozbiory, od kilkudziesięciu lat straciły na swej Piastowskiej obfitości. A czemu?... Dorwawszy się dzieła hr. Kazimierza Wodzickiego „Vademecum dla owczarzy“, jak wszystko, co pochodzi z pod jego pióra, wyczytałem, że kiedyś, a nawet dziś już, nikt nieda wiary, że Podole setki beczek miodu i mnogo cetnarów wosku światu dostarczało. Tak jest, nie uwierzy tegoczesny czytelnik, a nawet właściciel pasieki, gdy na lat dziesięć zaledwo, pasieki tyle dadzą korzyści, że przynajmniej nie ma wielkiej straty.

W całej ogółem Galicyi, po wytrzebieniu lasów, znacznie na niekorzyść klimat się zmienił. Z natury położenia wystawieni jesteśmy na srogie wichry północno-zachodnie, lub wschodnio-północne. Podole, będąc w dodatku wyżyną, żadnym łańcuchem wyższych gór nie osłonięte, po wytrzebieniu lasów tem bardziej jeszcze na podmuchy tych wcale nie łagodnych zefirów zostało wystawione. Następstwem tego bywają częste posuchy, ztąd brak „spadzi“ miodowej na hreczkach, a nawet liściach niektórych drzew.

Z czegóż więc pszczoła zbierać ma pożytek? Niegdyś, gdy hreczka chybiła, miewały pszczoły bodaj czy nie obfitszy, niż na „spadzi“ hreczanej, zbiór na bodiakach, bujnie na „stepie“, ugorach lub zboczach rosnących. Dzisiejsze wydoskonalone gospodarstwo rolne poorało stepy, a ugoru, jak już powyżej nadmieniłem, pozostawia się niewiele, i ten przez przez pasące się inwentarze do czarności zdeptany. Nawet hreczki, stosunkowo do dawnych lat, zaledwie w czwartej części na Podolu zasiewają. Bo się dla częstych posuch nieudaje, a ze względu na taniość ziarna nie opłaca.

Te będą zda mi się, główne przyczyny, dla których i bartnictwo na Podolu ku upadkowi się chyli.

Lud wieśniaczy Podola, dziwny, pomimo chlebności swych ról, nikły i smutny, jak te czyste, bezbarwne pola, które go otaczają. Szukałem skrzętnie; pod „Bih me“ pytałem wieśniaków, czy trafi się tu gdzie człowiek z żyłką myśliwską?

— Nihde nema takoho! — odpowiadano mi ogółem.

Nie dziwić się wreszcie; bo jakże zaprawić się bodaj do kłusownictwa, gdy na polach pusto i w lasach zwierzyny nie obficiej.

Najlepszej w tej mierze informacyi zasięgnąłem od Fedka.

Kto to ten Fedko? Postać, zdaniem mojem, nader ciekawa, więc ją w krótkości naszkicuję.

Pewnej niedzieli, w dwa wózki zrobiliśmy wycieczkę do Turczynowa, już nie na Podolu leżącego.

Ruszamy z miejsca. Ba, a Fedko furmani, do którego instynktem wiedziony, a więcej pociągnięty wąsatą jego

twarzą, z której „gadatywus“ wyglądał — na koziołek się przysiadłem. Ruszamy, a Fedko, który od lat kilku pełni urząd polowego, czyni to z prawdziwie furmańskiem zacięciem.

— Fedku — mówię — ta bo wy doskonale powozicie!

— Abo to ja zawsze chodził z „palicą“ (laską)? Ta ja 25 lat woził nieboszczyka jaśnie pana i ot syna, co nam teraz panuje. Ja, temu lat kilkanaście, wiózł arcyksięcia Karola Ludwika, co potem panom mówił, że nigdy tak dobrze nie jechał. Ej, miał ja wtedy cztery klacze szpakowate, już takich nigdzie nie „wyświadczy“. Za to, coś w pół roku dostałem przez starostwo z Wiednia medal i 70 dukatów nagrody.

— Teraz — dodał z żalem — musi człowiek chodzić z palicą, żeby w polu szkody nie było.

— A ze strzelbą umiecie?

— E, nie! ino tak dawniej z chartami, osobliwie na lisa.

— A między chłopami trafi się myśliwy?

— Ta gdzie! Chyba na rybę z wędką lub włóczkiem w Serecie. Rybaków dość. Temu lat kilkanaście, był w Jankowcach człowiek, co długie lata służył przy cesarskich okrętach na morzu. Tam tak się nauczył dobrze pływać, a osobliwie nurzać, że z największej głębi lub „wyru“ na stawie naszym Wertełeckim albo Załozieckim, ze dna piasek garścią wynosił. Kto, bywało, ryb potrzebuje, jak w dym do niego (niestety, nazwisko owego nurka zapomniałem) a on jak „stał“ (począł) chodzić pod wodę, tak i nałapał sumów, karpi, albo szczupaków, a wszystko duże. Jednej jesieni proboszcz ruski w Jankowcach sprawiał praźnik. „Zabagło“ (zachciało) mu się ryb — wołaj nurka, jadą nad staw. Dla ogrzania, bo woda była już bardzo zimna, i dla nabrania „kuraszu“, machnął nurek okowity dwie kwaterki, rozebrał się do naga i hul w głębię największą po za opustem. Tam w jamach, pod groblą, największa przebywała ryba. Skoczył -- woda zakłębowała. Po dobrej chwili — a mógł długo bez tchu w wodzie pozostać — wypłynął, wynosząc ogromnego karpia. Mało, mówi ksiądz, na ci kwaterkę okowity, ruszaj jeszcze. Wypił. Ludzie, co się temu przypatrywali, mówią: „Ej ponechaj toi roboty, i tak nyni ponediłok“; a nadto był już trochę pijany i aż posiniał od zimna. Nurek był uparty, odpowiedział: ...... na ponediłok, na złiść pidu pod wodu. Poszedł. Nie ma go, nie ma, ba, za długo. Skoczyli do młyna po bosak. Taj po jakiej pół godzinie wyciągnęli na brzeg nieżywego nurka. Powiadają, co ryba go zadusiła.

Prawdopodobnie tknięty został apopleksyą, albo zaplątawszy się w licznych palach podwodnych, utonął.

Fedko najwyborniej znał całą okolicę.

— Co to za wieś ot tam? — pytam.

— A Horodyszcze — tam dalej Seredyńce, a te wsi na prawo i lewo, to wsi naszego pana.

— A ten las do kogo należy?

— Do Zarudzia, a jego pan kniaź, ot tak jakoś nazywa się, niby ryba.

Chcąc mu przypomnieć, poczynam z kolei wyliczać wszystkie gatunki ryb. Ta nie, ta nie — nareszcie przyszedł z kolei lin.

— Aha, aha! książę lin.

— Książę de Ligne — mówię. — Wielki to pan, ale nie nasz.

— Ta nie nasz! Nikt go tu jeszcze nie widział, nikt u niego się nie zaratował. Nasz lepszy. Fuknie, stuknie, ale się ulituje i poratuje w biedzie.

Słyszałem opowiadających o stepowo wyglądającej części Podola. Ach, żeby to móc zobaczyć — pomyślałem. Tę bowiem część Podola na kilka mil wokoło, aż po Tarnopol, dokładnie już zwiedziłem. Gorące pragnienie moje prędzej się ziściło, niż się spodziewałem. Krewny mój wybrał się w okolice Buczacza, celem zlustrowania majątku pod jego zarządem będącego. Otóż pewnego wczesnego ranka siedliśmy na wózek — i w drogę.

Podole w tej stronie, t. j. po prawym brzegu rzeki Seretu, więcej górzyste i głębszymi poprzerzynane parowami, niźli po lewej stronie tej rzeki, bezpośrednio z Wołyniem się stykające.

Jak daleko w tej czysto południowej stronie ciągnie się Podole? Jedni twierdzą, że po rzekę Strypę, — drudzy po Dniestr. Kto ma racyę, nie potrafię rozsądzić. Uważałem tylko, że okolica po prawym brzegu leżąca i postacią więcej przepaścista, a w dodatku o jarach najeżonych skałami. Dalej lud wieśniaczy roślejszy i nadobniejszy niźli podolski, a w dodatku wyróżnia się strojem, w którym jaskrawe przeważają barwy, suto na ramionach i piersiach, pięknym ruskim haftem ozdobionym. Co wszystko prędzej za okolicę na początku Pokucia, a lud strojem i podobizną typu za pobliskich, bo tuż za Dniestrem mieszkających Pokucian uważać można.

Zbaczamy z bitego, t. zw. Brzeżańskiego gościńca i Chodaczków wielki, po za którym poczyna się step Pantalicha.

- Gdzież ten step? — pytam.

Równo i bezludno i bezdrzewno, to prawda. Oko gubi się na dalekiej płaszczyźnie. Gdzieś tam daleko widać kępy drzew. To Strusów i kilka wsi po stepie rozrzuconych, a nie blisko siebie leżących. Ależ to nie step, tylko pola.

Towarzysz mój odpowiedział, że na całej przestrzeni, jak długo i szeroko tej płaszczyzny, dziki niegdyś step, na pola przemieniono. Że pan K. opowiadał mu, iż przed laty trzydziestu, młodym jeszcze chłopcem będąc, na tych obszarach, które jeszcze prawdziwym były stepem, z chartami na zające, a ze strzelbą na dropie polował. Po mnogich „czaharach“, czyli moczarnych krąglakach, które do dziś jeszcze gdzieniegdzie istnieją, mnóstwo było błotnej i wodnej zwierzyny.

Dziś — *sic transit gloria mundi* — ani śladu po myśliwskim Edenie. Gospodarna Cerera wyrugowała Dianę.

Ot, drugie pokolenie zna stepy już tylko z tradycyi. A gdy, jak mówi Słowacki w Lilli Wenedzie:

„I trzeci raz jeszcze zginą —
I przejdą po nich zapomnienia pługi,
I stokrotnie się rozwiną
Na smutnym umarłym stepie!...“

Kto wie, czy wtedy i tradycja nie zginie. Bo dobrze mówią: „Co z oczu, to i z pamięci.“

Jedziemy szparko, bo droga równa jak po stole, wyjątkowo w tej stronie nie podolska, z jaru w jar, z góry na dół i znowu do góry. Jakież to wyborne „pole“ dla chartów.

Na stepowych, jak je tu nazywają wsiach, wszyscy trzymają charty. Właściciele, dzierżawcy, a nawet i księża.

— Ot tam! — mówi towarzysz mej podróży — to Nastasów, dożywotnim jego właścicielem każden proboszcz łaciński. Obecnie mieszka tam słynny myśliwy z chartami ks. Piskorski. Toż posiada znakomity miot chartów i wyborne konie biegůny. Jeżeli zawód kapłański sumiennie wy-

pełnia, to niemniej i myśliwski. Mocno żałuję, żem nie mógł go poznać.

Od samego Chodaczkowa aż ku Bohatkowcom, około trzech mil. ani jednej nie napotkaliśmy wsi, z wyjątkiem dwu zagród wiejskich, po jednej i drugiej stronie drogi stojących.

— Cóż za fantazya, lub rozpacz — mówię — zmusiła tych ludzi do osiedlenia się na takiem bezludziu.

— W dodatku — mówił towarzysz — w zimie osobliwie, gdy ciężka i zawalna, stada wilków z zakordonowych lasów tędy gościniec sobie obrały. Ubiegłej zimy stado wilków mimochodem wdarło się aż do chlewu jednego z tych osadników i rozszarpało troje jałownika. Właściciel słyszał i widział wszystko po księżycowej nocy, lecz wobec przewagi liczebnej (chłop utrzymywał, że było około 20 sztuk wilków) nie poważył się iść z obroną.

Wyobrażam sobie, jakie tu zimą muszą być zawieruchy, kiedy nas w czasie podróży, w połowie sierpnia okutanych w bundy, przewiał dotkliwie chłodny wiatr północno-zachodni.

— Nigdy tu spokoju nie ma, zimą i latem dmucha, taj dmucha — odezwał się wreszcie małomowny woźnica Bartek. — A nie od wczoraj zna on te strony.

Przeciąwszy step ukosem, ponownie wjechaliśmy w prawdziwie podolską okolicę. Co jar to wieś. Dalej błyszczy staw.
— To Rakowiec, a przy nim płynie Strypa.

Rzeka Strypa, ujęta w groble, tworzy stawy Bohatkowiecki, Rakowiecki i Wiśniowczycki. Stawy te znacznie mniejsze w przestrzeni, niźli Załoziecki i Wertełecki, nie tak czyste jak owe, przeto więcej podobno mają zwierzyny wodnej, która dla pieleszy tylko, na pół trzciną i szuwarem zarośnięte stawy wybiera.

Strypa za Bohatkowcami, miasteczkiem Złotnikami i Wiśniowczykiem, jakże odmienny ma charakter, niżeli leniwo płynący, bagnisty Seret. Charakter Strypy odmienny, bo koryto jej już skaliste, a wgłębienie, które z wiekami sobie poczyniła, pełne skał o głazach zielonkowej lub czerwonej barwy. Tutaj już na pół górsko wygląda. Bystro, bo z znacznym spadem płynącej Strypy nikt odtąd w stawie więzić się nie poważy. W razie bowiem przyboru wody, rozerwałaby i najsilniejszą groblę, co rok rocznie czynić ma w Wiśniowczyku, rozrywając wysoką i kosztowną groblę. Odtąd powtarzam, śmieją ludzie zaprzęgać rzekę do pr acy za pomocą jazów, które nadmiar wody przez grzbiety swe przepuszczają.

Spuszczamy się w jar głęboki. Po kamieniach i wertepach — najzupełniej jak w górach. Tuż przy drodze szumi Strypa. Wyznam otwarcie, że wdzięczniej tu, niż na opolnem Podolu. A co niemniej przyjemne, że naraz zrobiło się zacisznie i ciepło, jak w kotlinie Meranu. Jakby inny świat, słońce dopieka — musieliśmy zrzucić bundy.

Wzdłuż koryta Strypy, pod gaje zielone lub lasy płynącej, w wdzięcznych zakrętach rozsiadły się mieszkania ludzkie; to sioła. Robolińce hr. Krasickiego z Liska, dalej urocze Ossowce i Petlikowce — na razie kres naszej podróży.

Wszystkie wymienione wsi niewielkie posiadają lasy, w nich, osobliwie w 400-morgowym zwartym i podszytym dębowym Petlikowieckim lesie, przy nader starannej ochronie nadleśniczego pana Nahumowicza, stan sarn i zajęcy ma być świetny.

Na dorocznem polowaniu w lesie Petlikowiec ubito w przeszłym roku około 20 rogaczy i 200 zajęcy. Na 400-morgową przestrzeń, rezultat to świetny. Las ten wokoło otoczony polami, więc dostarcza obfitego żeru, u samych stóp płynie Strypa; w dodatku wewnątrz lasu ma być kilka źródeł — toż miejsca te dla wszelkiej zwierzyny „wyraj“ prawdziwy.

— Sarny moje — mówił z lubością pan Nahumowicz — nic a nic mnie się nie boją. Gdy idę lasem, to patrzą za mną swojemi modremi ślepkami. Aż żal człowiekowi, że niektóre koziołki na śmierć przeznaczone. Takie to mądre bestyjki!...

— A kłusowników pan masz? — zapytałem.

— A mam niestety! Jeden z nich bogacz i były wojskowy, więc butny; co mu odbiorę strzelbę, wnet kupi sobie drugą. Lecz ja mu dojadę w końcu, choćby miesiąc cały noc w noc zrobię na niego w lesie zasadzkę i na gorącym uczynku złapię. Do tej pory zabieram mu z żandarmami strzelbę z domu. Ubiegłej zimy, u skraju lasu znalazłem kilkadziesiąt „pętliczek“ czyli sideł z żółtego drutu. Mordercze to narzędzie; nietylko zając, lecz nawet i sarna w nie się ułowi. Który z wieśniaków je ponastawiał, nie wiem na pewne. Lecz przy danej sposobności i tego dojdę. Stan zwierzyny byłby u nas jeszcze świetniejszy, gdyby nie pewni panowie w okolicy, którzy szczególniejsze mają zamiłowanie w szanowaniu lisów. Lubownictwo swe do tego posunęli stopnia, że skupują stare konie, zabijają takowe, a ścierwo ich po różnych stronach obszernych swych lasów rozwlekają. Sami nie tędzy strzelcy, w razie polowania *nolens volens* darzą życiem tych szkodników, toż jest ich u nas mnóstwo. Skoro ci panowie nie odstąpią od swej zasady rozmnażania nam szkodników, ja będę zmuszony od mojej znów zasady odstąpić i pocznę wytruwać lisy strychniną. Najgorzej wychodzi na tem pan Szawłowski z Przewłoki. Oprócz lasów posiada i kręglak kilkunastomorgowy, polami otoczony. W tym to kręglaku zaprowadził chów bażantów. Dziko prowadzona bażantarnia udałaby się wyśmienicie, gdyby nie lisy, które niemałą szkodę czynią.

Towarzysz, a względnie Amfitryon tej mojej wycieczki, mnie w Petlikowcach poniechawszy, sam w dalszą podróż wyruszył. Nie mając co robić, wespół z panem nadleśniczym Nahumowiczem poszliśmy w las.

Pytam pana Nahumowicza:

— Jak pan sądzi, przyjemniej polować z nagonką, czy z gończakami.

— A, już starym obyczajem, wolę z pieskami.

Słowa wyrzeczone i otoczenie wdzięczną knieją przywiodły w pamięci mojej staroświecki rodzaj pieśni myśliwskiej, naśladującej granie ogarów, którą powiem jak pan Jowialski Fredry: możeście słyszeli łaskawi czytelnicy — więc posłuchajcie:

„Aj, aj, — szary, bury, popielaty,
Nasz! nasz! nasz!
Panom skoki, a nam boki,
Myśliwemu łeb, łeb!
Paf! — na tu, tu!...
A my tego nie wiedzieli,
Że myśliwy kiep, kiep!

— Dziki — mówił nadleśniczy — trafiają się dopiero w większych lasach Buczackich i za Dniestrem. Tu, jakkolwiek żołędzie obradzają i woda blisko, jakkolwiek jestem piąty rok — ich nie widziałem.

Dwór, w którym mieszka dzierżawca, jest jeśli nie starożytną, to staroświecką budową. Piątrowy, z sute-

renami, cały budowany z ciosowego kamienia, jak mówią, pochodzi z czasów króla Jana Sobieskiego, który w nim nawet pewien czas miał gościć, niemniej jak król Stanisław Poniatowski. Architektura tego, iście pańskiego dworca, czysto włoskiego stylu. W owych bowiem czasach nie miała Polska dobrych budowniczych, najczęściej sprowadzano ich z Włoch, toż wszystkie niemal znaczniejsze budowle w Polsce z owego wieku, czego wreszcie niektóre stare domy na lwowskim rynku dowodzą, są czysto w włoskim stylu budowane. Dwór w Petlikowcach, tak kształtem swoim powierzchnym, z temi schodami kamiennemi po jednej i drugiej stronie naprzód wystającego kamiennego ganku, na górne piętro wiodącemi, to już styl czysto włoski. Kilka podobnego stylu pałaców widziałem we Włoszech. Wewnątrz rozkład pokoi niemniej włoskim obyczajem. Tak do skrzydłowych pokoi, jak i do głównego środkowego, wiodą drzwi wprost z owego ganku.

Na balkonie tym usiadłszy, puściwszy wzrok mój, a względnie wyobraźnię po obszernym dziedzińcu i przeciwległej brzostowej ciemnej alei, zdało mi się, że widzę pana tego dworu, jak z balkonu pokazuje swoim gościom przez koniuszego ujeżdżane tureckie bachmaty.

Co za smutne przebudzenie z tych marzeń! Ujrzałem brodatego żyda, ponoś wiernika, na chudej szkapie przed ganek z raportem wjeżdżającego.

Po za owym brzostowym szpalerem, mieści się gumno. Obszerne, a w dodatku wysokim kamiennym murem otoczone. Na głównej, z arkadą kamienną bramie, z wyrzeźbionym rokiem 1816., na samym środku stoi statua kamienna — świętego? Przyglądam się bliżej, nie, to nie święty, tylko gumienny w całej swej okazałości, w kożuchu, ogromnej baraniej czapie, trzymający olbrzymi klucz żelazny w dłoni.

Widok podobny, wyznam otwarcie, do homerycznego pobudził nas śmiechu, tak, jak się to często przydarza, gdy czytamy niefortunne wiersze na kielichach wiwatowych starej daty.

Drugiego dnia mówi mi pan Nahumowicz:

— Mam interes w Buczaczu, może pan pojedzie?

— Ależ i owszem!

Zajechał powozik, parą najętych, malutkich chłopskich koni zaprzężony, więc siadamy.

Ze wsi, pod górę się drapiąc, wyjechaliśmy na gościniec bity, grzbietem wyniosłej doliny wiodący. Naraz po ujechaniu mili, postrzegam ruiny zamczyska, a w pobliżu (jak się wydawało), olbrzymie niemniej stare żydowskie okopisko.

Jedziemy — konięta drobią; ciągle widać ruiny zamczyska, jak mi mówiono, Buczackich, a miasta jak nie widać, tak nie widać. Naraz, poczynamy spuszczać się ze stromej góry, dalej w bok z wykrętasem na most — i ot Buczacz. Słynny ruinami zamku niegdyś Buczackich, przepięknym ratuszem o stromej wieży, klasztorem Bazylianów, i ekscentrycznością ich fundatora, Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego.

O dziejach zwalisk zamkowych w historyi czytelnik się dowie. O wybrykach Mikołaja Potockiego, mnóstwo krąży prawdziwych i nieprawdziwych anegdot, więc ich powtarzać nie będę.

Zwidziwszy ruiny zamku Buczackich, na stromej, skalistej górze, stanowiącej zarazem brzeg Strypy, wracałem ku miastu. Samo miasto Buczacz leży w kotlinie, do okoła stromemi górami otoczonej. Środkiem płynie Strypa, tu prawdziwie po górsku wyglądająca, po dnie skalistem, kryształowe tocząc wody.

Buczacz położeniem swojem przypomina mi niektóre pomniejsze miasteczka Styryjskie. Tu i owdzie dla braku miejsca uliczki bywają wąskie. Rynek z ratuszem w środku jak i w Buczaczu niewiele ma w przestrzeni, tylko że miasteczka Styryjskie czyściuchne, a Buczacz za głównych mieszkańców ma plemię Izraela.

Okolica, na jakie 8 kilometrów przed Buczaczem od strony Tarnopola jadąc, najzupełniej odmienny Podolowi przedstawia charakter. Górzysto tu i lesisto. Za Buczaczem, jak mię zapewniano, więcej jeszcze ma być lesisto. Wyższe tam góry i głębsze jary, prawie aż po ujście Strypy do Dniestru. W lasach tych dębowych i brzozowych, dzików liczne przebywać mają stada.

W jesieni, jak mi zaręczał „myszures“ z hotelu Mołdawskiego, u chłopów dostanie wszelkiej zwierzyny, a nawet, dodał spluwając, „a wilde chazer“, czyli dzika.

— A żydki tego nie kupują?

— Nu, kupują, ale nie dla siebie, bo to bardzo nie dobre.

— A skądże wiesz, że nie dobre, kiedyś nigdy nie kosztował?

— Nu, bo tak w książkach naszych napisano.

Na tem zakończyłem moją dysputę religijną, zarazem i tegoroczną moją, że ją tak nazwę, Podolską wycieczkę, a nieciekawe i nie nowe z niej rzeczy szanownym czytelnikom *Łowca* przedkładam.

KAWKA.

...Nazywaliśmy ją „kawką“. Miała włos kruczy, a oczy niebiesko-siwe, przypominające polerowaną stal i sine głębiny morza — duże, silnie od białek odgraniczone, na pozór zimne i spokojne, a przecież tak głębokie i tajemnicze, żeś mimowolnego dreszczu dostawał, gdyś się w nie wpatrzył.

Była żoną jenerała, człowieka już mocno szpakowatego i schorzałego, który od roku stacjonował w jednem z miast litewskiego Polesia. Miała wzrost prześliczny i pełnię kształtów proporcjalną, rozkoszny wdzięk w ruchach, odznaczających się elegancją, a bardziej jeszcze urokiem, który dają młodość, siła i przedziwna harmonia budowy.

Była zazwyczaj poważną, chód miała powolny, majestatyczny, mówiła niewiele a uśmiechała się rzadko — mimo to wywierała na mężczyzn wpływ jakiś magnetyczny, ubezwładniający. Każdy gotów był rzucić jej się do stóp, jak niewolnik z związanemi rękami i nogami.

Ubierała się zawsze tylko czarno i popielato — istna kawka — a stanik jej z *gros-grains*, ubrany fantazyjnie lekkiemi jak pajęczyna gipiurami, robił wrażenie tego prześlicznego, lubieżnie miękkiego puchu na piersiach kawki, którego dotknięcie tak jest miłem.

Niektórzy oficerowie mówili z przekąsem, że pani jenerałowa nosi żałobę po dawnych znajomościach garnizonowych, lecz mówili to ukradkiem, oglądając się, i nie śmiali się przytem, jakgdyby z jakichś lekkich awanturek miłosnych. Inni twierdzili, że mąż nie pozwala jej ubierać się w kolory, jakgdyby z powodu jakiegoś zmarłego czy zabitego w pojedynku kuzyna, którego śmierć jej przypisywał. Trudno było wiedzieć, co o tem wszystkiem sądzić, to jednak pewna, że „kawka“ była wobec wszystkich sztywnie grzeczną, niedostępną, niemal surowych obyczajów, i jeśli ciągnęła się za nią jaka legenda miłośnych upojeń, to musiała być posępną jak jęk kawki i krakanie kruka.

Kawka należała do najznakomitszych myśliwych. Gdy się pojawiła w kniei na stanowisku, w sukni z ciężkiego, czarnego aksamitu, bramowanej popielatemi lisami, w zgrabnych butach z lakierowanej skóry, także futerkiem wykładanych i bramowanych — pudłowaliśmy wszyscy przeraźliwie, wpatrzeni w nią, jak w anioła czy demona łowów. Bo też hypnotyzujący jej wzrok czarował całą knieję. Na nikogo z myśliwych nie wychodziło tyle zwierza, co na nią, a każdy, trafiony śmiertelnie z pysznie dźwirowanej lefoszówki, padał u jej stóp, jak gdyby z rozkoszy, że ją widział i miał szczęście z rąk jej śmierć ponieść.

Nie wyjdzie mi nigdy z pamięci chwila, gdym ją po raz pierwszy ujrzał.

Była to późna jesień. Szare niebo spadało niemal na wierzchołki dębów, jakgdyby wstrzymując z całą siłą ciężar śniegów, które się miały z niego wysypać. Pomiędzy pniami drzew snuła się lekka mgła, a cisza w powietrzu była taka, że każdy strzał łamał się w tysiączne i powoli głuchnące echa. Osiki i brzozy sypały kaskadami żółtego liścia, który unosił się długo w powietrzu, zanim legł na ziemi, broniąc się przed wiecznym spoczynkiem.

Ukazywała się już nagonka, i mieliśmy schodzić ze stanowisk, gdy wtem rozległ się jeszcze jeden krótki, niezbyt głośny, rzekłbym — nerwowy strzał.

Oglądnąłem się. O jakich sto kroków, z po za dęba wiła się lekka smuga dymu. Podszedłem ku tej stronie. Nie wiedziałem nic o tem, że jenerałowa, już po obstawiewieniu miotu, przybyła do kniei i zajęła stanowisko niedaleko odemnie. Gdym się też zbliżył, stanąłem jak wryty na widok niezwykłej postaci kobiecej. „Kawka“ szła wolno z wzniesioną w górę i dymiącą jeszcze dubeltówką ku miejscu, gdzie leżał lis w przedśmiertnych drganiach. Zbliżyła się do swej ofiary, dumna i wyniosła jak bogini lasów, a spuszczając strzelbę ruchem szybkim i silnym, uderzyła kolbą w łeb drgającego mykitę. Po tym ciosie ustały wszelkie odruchy; lis leżał wypatrzony szklannem a przerażonem ślepiem we wspaniałą pogromczynię, z mordy zaś jego, jakgdyby zgrzytającej, wychylały się dwa szeregi białych, ostrych zębów... Jenerałowa, wyrzucając niedbale z lufy patron wypalony, patrzyła na swą ofiarę okiem spokojnem a zimnem jak ostrze noża.

Doznałem wówczas uczucia jakiejś dziwnie strasznej rozkoszy. Było mi zimno i gorąco, podziwiałem — i drętwiałem od stóp do głowy...

Taką była „kawka“.

Rzekłem już wam, że wszyscy potroszę ulegaliśmy demonicznemu wpływowi tej kobiety, najbardziej zaś najmłodszy z nas, Kazimierz D., zapaleniec, na którego wszystkie kobiety chętnie rzucały okiem, bo piękny był jak Apollo.

Kazimierz, pan dość znacznej fortuny, światowiec, wychowany wykwintnie, zyskał bardzo łatwo wstęp do domu jenerałostwa. „Kawka“ przyjmowała go jak wszystkich innych, choć mogła bardzo łatwo wyczytać we wzroku młodego zapaleńca namiętność niepohamowaną. Z czasem zapanowała między nimi większa poufałość, lecz owa czysto salonowa, która nie uprawnia do żadnych nadziei, ani powodu do obmów dać nie może. Kazimierz był ponury — niepocieszony — i szukał pociechy przy kieliszku i kartach.

Zdawało mi się, że raz, czy dwa razy, gdyśmy robili razem wycieczki myśliwskie, zatrzymywała się „kawka“ wzrokiem swym dłużej na Kazimierzu, i to w chwilach, kiedy on na to nie zwracał uwagi. Wzrok ten był wówczas dziwnie palący, pochłaniający — jakby zapatrzony w przepaść. Ściągnięte ku sobie dwa prześliczne łuki brwi zdawały się mówić, że w głębi duszy, która tym wzrokiem przeszywa, toczy się ostatnia walka woli z namiętnością.

Polowanie, na którem to zauważyłem, było dziwnie pogmatwane. Myśliwi schodzili ze stanowisk, jenerał gniewał się co chwila na leśniczego, który prowadził huczków, Kazimierz zalazł gdzieś w trzęsawiska, „kawka“ nie miała swego zwykłego szczęścia, mnóstwo zwierzyny przechodziło przez linię nie strzelanej.

Od tego polowania Kazimierz nie pokazywał się już prawie w naszem kółku — zdziczał zupełnie — a jeśli go się gdzie spotkało, bywał albo dziwnie ponurym i roztargnionym, albo wpadał w poetyczne ekstazy.

* * *

Zaszliśmy w głęboką zimę.

Jenerał dzierżawił polowanie w obszernych lasach, których właściciel bawił za granicą. W głębi tych lasów był myśliwski szalet o kilku pokoikach. Tu urządzaliśmy częstokroć kilkudniową kwaterę myśliwską, z której robiliśmy wycieczki kolejno do rozmaitych miotów. Jenerałostwo zajmowali szalet, goście zaś mieścili się jak mogli w położonej nieopodal leśniczówce.

Zima rozpoczęła się ostremi mrozami, lecz zrazu była prawie bezśnieżna. Potem upadł śnieg i mrozy zelżyły. Jenerałowi doniesiono, że w lasach pojawiły się wilki i robią szkodę między sarnami. Było mu to nie na rękę, bo cierpiał bardziej niż zwykle na reumatyzm czy pedogrę. Lecz „kawka“ zapłonęła niepohamowaną chęcią zapolowania na wilki. Jenerał zaprosił więc zwykłe nasze kółko myśliwskie, żonie dał za towarzysza starego lekarza pułkowego, przyjaciela domu, i wyprawił nas do kniei przyrzekając, że skoro mu się cokolwiek polepszy, podąży za nami.

Cóż to była za wyprawa myśliwska! Już nie wesoła, ale szalona. Kazimierz był jakby jakimś paroksyzmem szczęścia opętany. Konno towarzyszył faetonowi, który wiózł jenerałowę, a puszczał się na brawady, godne młodzieniaszka, co się wyrwał z pod rygoru szkolnego.

Oprócz polowań z nagonką, przygotowano także łowy na przynętę; wystawiono budkę, okrytą gałęziami i porzucono opodal padlinę końską. Była to piękna gratka dla myśliwego, lubującego się w nocnych zasiadkach. Kazimierz zapowiedział nam jednak z góry, że to on dla siebie kazał urządzić i że prócz swego strzelca Roma (miało znaczyć Romana), nikogo więcej do budki nie dopuści.

Zgodziliśmy się na taką dyspozycję — bo nie można było się niezgodzić — i rozpoczęły się łowy, obliczone na dni pięć lub sześć. „Kawka“, stary doktor i ich służba zamieszkali w szalecie — my, jak zawsze, na leśniczówce.

W miotach szło gwarno i rozmaicie; w ogóle dość szczęśliwie, choć ani jednego wilka nie dostaliśmy na strzał. Kazimierz mimo to, od pierwszego zaraz dnia. a raczej wieczora, wybierał się na zasiadkę. Księżyc wschodził dopiero po północy i tylko wtedy liczyć można było na pewny strzał — on jednakże brał swego Roma zaraz z wieczora, zaledwieśmy od wspólnego obiadu powstali, i spieszył do budki. Tak zeszło nam trzy dni, w ciągu których wracał Kazimierz nad ranem znużony, rozgorączkowany, lecz bez śladu wilka...

Czwartego dnia rano przybył do nas jenerał. Okutany w pledy, w futrzanych butach, z twarzą perłowo bladą i bardziej niż zwykle pomarszczoną, oświadczył, że wybierze się z nami do kniei. Wybrał się istotnie, lecz wytrzymał tylko do południa, poczem wrócił sam do szaletu, zostawiając nam dalsze łowy. Wrócił, lecz nie spoczął. Widziano go jak chodził na około szaletu, jak potem mierzył krokami odległość od leśniczówki — nawet do budki wilczej zaglądał.

Po dniu słonecznym i pogodnym skłębiły się ciemne, ciężkie chmury i wieczór zapadał wcześniej niż zwykle. W powietrzu spokojnem lecz jakby dusznem zaczęły się pojawiać duże płatki śniegu. Padały rzadko tu i owdzie, zapowiadając ponowę.

Nie dokończyliśmy już jak należy ostatniego miotu i wróciliśmy do szaletu. Na ganku powitał nas jenerał zapytaniem, cośmy ubili?

— Rezultat wyśmienity — zawołał Kazimierz — trzy kozły, dwa lisy, dwanaście szaraków, a oto zdobycz ostatniego strzału pani jenerałowej — dodał, ustąpiwszy na bok i wskazując na odyńca, którego wieziono na saniach wśród wieńców zieleni.

— Brawo! brawo! — wołał jenerał zbliżając się do sani. — Jednym strzałem, i w samą komorę... W samo serce... Brawo, brawo!

„Kawka“ wysiadła tymczasem z myśliwskiego faetonu, lecz nie przemówiła ani słowa, a w spojrzeniu, którem zdawała się śledzić pergaminową twarz jenerała, przebijało coś na kształt niepokoju.

— Pani jenerałowa jest królową, która ani w salonie, ani w kniei zdetronizować się nie da — rzekłem, zdobywając się na galanteryę.

— I dzierży w swem ręku sama jedna prawo życia i śmierci — rzekł jenerał, jak gdyby kończąc mój komplement, poczem podał żonie ramię i wprowadził ją do pokojów.

Rozmowa toczyła się oczywiście o wypadkach dnia; tymczasem oporządzaliśmy się cokolwiek i czekali na „kawkę“, która poszła się przebrać. Na stole dymiła się już waza barszczu z uszkami i myśliwski gorący obiadek.

Wkrótce rozwarły się drzwi od sypialni jenerałowej, ukazała się nasza „kawka“ — czarna i popielata — i zasiedliśmy do stołu.

Myśliwskie trofea, kwestya wyższości lefoszówek nad lankastrówkami, siła strzału, kształt kuli, od której zawisła śmiertelność — wszystko to stawało się po kolei przedmiotem rozmowy.

— A czy państwo wierzycie w „brand“ — zapytałem?

— Co to jest „brand“? — odezwał się doktor.

— Jest to właściwość strzelby — odparłem — że pociskiem swym nigdy nie rani, a zawsze zabija, choćby strzał ugodził w takie miejsce, w którem zazwyczaj nie bywa śmiertelnym. Widziałem strzelby kosztowne, wyborne, z pierwszych fabryk, a bijące tak miękko, że zwierzę, choćby ciężko ranione, pomykało dalej i niknęło. A widziałem także pojedynki wiązane sznurkami, których strzał był zawsze śmiertelny. Miały one „brand“. Lefoszówka pani jenerałowej ma także „brand“ — kogo ugodzi, ten nie drgnie.

Na te słowa podniósł Kazimierz oczy na jenerałową i spojrzenia ich skrzyżowały się. Zdawało się przez sekundę, że dwa meteory płomienne przeleciały nad stołem... W posągowem obliczu „kawki“ drgnęło coś jak gdyby pomięszanie. Biorąc kryształowy kieliszek z maraskinem, rzekła:

— To przesąd myśliwski... każdy to samo potrafi, niech tylko dobrze celuje...

Jenerał, który zdawał się drzemać nad filiżanką mokki, jaką właśnie rozdano, podniósł nagle oczy, jakieś zielone, bazyliszkowe i rzekł:

— To jednak szczególna, żeście dotychczas ani jednego wilka nie ubili.

— Zapewne ich nie ma! — zawołał ktoś z obecnych — i albo raport był fałszywy, albo się tylko na dzień pojawiły i przeszły w dalsze lasy.

— Kazimierz na przynętę zasiada się na nich co nocy, a przecież dotychczas nie dostał żadnego — odezwał się ktoś drugi.

— A tymczasem wilki są — rzekł z naciskiem jenerał. — Nie trzeba szukać daleko, ażeby znaleść ich trop. Jest tuż pod oknami...

— To niepodobna, to niepodobna! — wołaliśmy, ruszając się od stołu, ażeby sprawdzić spostrzeżenie jenerała.

On zaś zbliżył się ku oknu i w blasku światła, bijącego na dwór z okien szaletu, ukazywał nam ślady, snujące się tu i tam sznurkiem.

Co to były za ślady, trudno było orzec od razu; niektóre zasypał już do połowy świeżo padający śnieg, u innych zaś iskrzyły się na krawędzi odcisków kryształy dużych płatków śniegowych, zamazując zwolna kontury tropu.

— Ależ to nie wilczy trop! — zawołaliśmy chórem.

— Chyba niedźwiedź jaki schodził, ale nie wilk.

— Więc chodźcie do drugiego okna, tam jeszcze wyraźniejsze — zawołał jenerał, i otwarłszy drzwi do sypialni żony, wszedł tam, a my za nim.

— *Mais mon cher...* — protestowała „kawka“ głosem, w którym brzmiało więcej gniewu, niż wstydliwości. Lecz jenerał nie zważał na protesty i wskazując na śnieg, zdeptany tuż pod samem oknem, wołał:

— Patrzcie, najwyraźniejsze wilczysko!

Spojrzałem i ja przez okno i nie mogłem pojąć, jak można się było łudzić. Śnieg pod oknem był najwyraźniej butami zdeptany. Chcąc znaleźć odpowiedź na tę zagadkę, oglądnąłem się instynktownie i struchlałem, ujrzawszy Kazimierza. Nie poszedł on za nami do sypialni „kawki“, lecz siadł w fotelu naprzeciw niej. Był blady jak posąg marmurowy, a oczy miał w niej utkwione. Trwało to sekundę — lecz dla mnie była ona wystarczającą. Wiedziałem wszystko...

Jenerał prowadził zaś towarzyszy do drugiego okna sypialni, znajdującego się w przeciwległej ścianie — lecz tu powierzchnia śniegu była gładka i czysta.

Nikt nie chciał się zgodzić na opinię jenerała; przypuszczano wszystko inne, tylko nie wilki — on wszakże był niewzruszony.

— Jestem stary myśliwy i znam się na tem — rzekł — a ponieważ wy żadnego wilka ubić nie możecie, więc ja sam na nie zapoluję, nastawię żelaza. Co myślisz? — dodał, zwracając się do żony.

— Myśl wcale dobra — rzekła obojętnie. — Trzeba tylko zobaczyć, czy są żelaza.

Jenerał zawołał strzelca i wkrótce pokazało się, że jest potężna paść, którą można było natychmiast nastawić. Przyniesiono ją i postawiono na stole. Dwa żelazne kabłąki, ostro piłkowane, zaciskały się pod wpływem silnej sprężyny jak dwie szczęki okropnego potworu o żelaznych zębach.

— Wątpię, czy będzie dość silną na wilki — zauważyła jenerałowa.

Na te słowa, z siłą, jakiejby nikt nie był u jenerała przypuszczał, rozwarł on obie szczęki paści i rzekł, śmiejąc się dziwnym głosem:

— Spróbuj!

„Kawka“ spojrzała lodowatym wzrokiem na męża, któremu wystąpiły na czole żyły od nadludzkiego wytężenia i obnażoną, prześlicznie toczoną rękę włożyła najspokojniej między potworne szczęki.

Lecz w tej chwili zerwał się Kazimierz z okrzykiem:

— Cóż za nieroztropność! — i szybkim ruchem podniósł rękę jenerałowej do góry

Była to, zdaje się, ostatnia chwila wytężenia i dla jenerała, gdyż paść zamknęła się ze zgrzytem, a on sam upadł bez sił na fotel.

— Mimo to — rzekła spokojnie „kawka“ — możesz nie dostać wilka na żelaza. Bywały wypadki, że wilk czy lis odgryzał łapę przychwyconą i uchodził na trzech pozostałych.

— Jest i na to rada — rzekł jenerał. — Jak myślisz doktorze?

— Zapewne — odparł zapytany bezmyślnie.

— Czem to mieszkańcy Gujany nasycają swe strzały?

— Kurarą.

— Możemy i my użyć tego środka.

— U nas nie ma kurary — odparł doktor, lecz po chwili dodał: — U nas można użyć strychniny.

— Prawda — zawołał jenerał — mamy strychninę na lisy. Wszak, jeśli strychnina dostanie się do krwi, zabija natychmiast?

— Bez wątpienia — natychmiast.

— Posmarujemy więc zęby tego niewiniątka strychniną. Niech potem wilk odgryza sobie nogę i ucieka. Jak myślisz? — dodał jenerał, zwracając się do żony.

— Dobra myśl — rzekła zimno — strychnina zabija.

Było w całej tej rozmowie coś strasznego, jak gdyby przygotowania do pogrzebu...

Kazimierz poruszył zwolna ręką — ruchem lunatyka lub człowieka zahypnotyzowanego wydobył chustkę i podniósł ją do czoła, jak gdyby pot chcąc obetrzeć...

Nikt z obcych nie pojmował, co się właściwie dzieje, lecz wszyscy byli dziwnie rozstrojeni. Widziano jakieś chorobliwe dziwactwo w owych zamiarach jenerała, aby koniecznie zastawiać paście na wilka. Nikt mu się nie sprzeciwiał, lecz rozmowa się urwała i wkrótce rozeszliśmy się na spoczynek.

* * *

. . . .

Co to była za noc!

Gdyśmy wyszli, śnieg sypał już gęsty, zakrywając białym, jednostajnym obrusem całą ziemię. Płatki, zrazu duże i wolno spadające, zamieniały się w igiełki i leciały z pośpiechem, jak gdyby chcąc zamazać wszystko, czem zwierz czy człowiek ślad swej bytności zaznaczył. W górnych warstwach zrywał się wiatr i szumiał szczytami dębów. Jeżeli zbrodniarz czy kochanek chciał być niespostrzeżonym, mógł bezpiecznie nocy tej użyć. Rozpoczynająca się zawierucha zapierała wrota tym, co chcieli z domów na świat wyglądnąć, i zamiatała jednej chwili ślad wszelkiego stworzenia.

Kazimierz nie wrócił z nami do leśniczówki. Już po drodze oświadczył towarzyszom, że idzie do budki na zasiadkę.

Byłem niespokojny. Myślałem, że namiętność bywa ślepą i szaloną i daremnie starałem się usnąć. Zdawało mi się, że czuję utkwione w sobie zimne, a przepalające do głębi, szare a błyszczące oczy „kawki“...

Ani filozoficzne refleksye, ani dym cygara nie rozprószyły instynktowych niepokojów. Wstałem wreszcie, przywdziałem kożuszek, zarzuciłem strzelbę na ramię i mimo zawieruchy wyszedłem do wilczej budki.

Śnieg był już dość głęboki; grzązłem i utykałem na korzeniach drzew.

W budce spał tylko strzelec Kazimierza, lecz jego samego nie było.

Wziął mnie lęk. Gdzie mógł być Kazimierz? Widocznie podejrzenia moje były uzasadnione. Może gdzie krąży koło szaletu? Za każdą cenę trzeba go było wynaleźć i przywrócić do opamiętania.

Wyszedłszy z budki, zwróciłem kroki moje ku szaletowi. Śnieg padał coraz gęstszy, tak, że z trudnością tylko można się było oryentować. Zaledwo uszedłem kilka kroków, gdy krzyk przeraźliwy rozdarł powietrze. Jeden tylko krzyk, ale straszny, przedśmiertny... Potem wszystko ucichło...

Zimny pot mnie oblał. Nogi ugięły się pod kolanami, przez chwilę byłem jakby sparaliżowany. W krzyku zasłyszanym nie brzmiało prawie nic ludzkiego — tak był okropnym — a przecież byłem pewny, że to krzyk Kazimierza — i to krzyk ostatni...

Nie wiem już, jak biegłem, ile razy upadłem, potykając się na korzeniach i gałęziach — wytrwale jednak przedzierałem się ku stronie, z której krzyk mnie doszedł.

Znalazłem się wkrótce na polance przed szaletem myśliwskim. Przy bladem świetle gwiazd spostrzegłem wreszcie coś czarnego na śniegu. Jeszcze kilka kroków — i stanąłem przy trupie Kazimierza...

O kilkanaście kroków od okna, pod którem przedtem żadnych śladów nie widziano i gdzie nie było zamiaru nastawiać żelaza na wilki — leżał Kazimierz martwy i okropny... Noga, ściśnięta strasznemi zębami paści, broczyła puszystą powłokę świeżego śniegu — ręce i nogi były sztywne i okropnie wyciągnięte, oczy na wierzch wysadzone, szkliste, szeroko otwarte, a z wyrazem takiego przerażenia, że groza przejmowała na sam ich widok. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, rzuciłem się ku niemu, rozdarłem koszulę na piersi, nadsłuchiwałem bicia serca, nacierałem śniegiem — wszystko nadaremnie. Biedny Kazimierz, spiorunowany jadem strychniny, zesztywniały i wyciągnięty jak na kole torturowem — nie dawał już ani znaku życia.

Co mi wtedy przez głowę przechodziło — trudnoby dziś powtórzyć. Chciałem szalet podpalić, chciałem tę kobietę zamordować i zobaczyć, czy jest w jej łonie serce — byłem przez chwilę szalony. Lecz gdym wszystko rozważył, wróciłem do budki wilczej, zbudziłem Roma, a nakazawszy mu milczenie, uwolniłem z nim razem zwłoki Kazimierza z okropnych żelaz, włożyłem je na sanie i kazałem wieźć nocą do miasta. W ślad za nim wysłałem pułkowego lekarza, a sam rozgłosiłem, że Kazimierz, postrzeliwszy się w nogę na zasiadce, musiał być do domu odwiezionym...

* * *

Zapytacie, co ona?

Przysięgam wam, że ona wiedziała, co w nocy zaszło... Człowiek skaleczony mógł ją skompromitować, lecz ten, któremu strychnina usta na wieki zamknęła — nie był już niebezpiecznym... Wszak ona sama pochwalała użycie strychniny.

Myślałem, że zobaczę furyę z wężami na głowie, demona, co leci, trując swym oddechem i rzucając piszczelami pobitych ludzi...

Nie. Rano zastałem tę samą „kawkę“, jeszcze bledszą niż zwykle, ze spojrzeniem jeszcze bardziej zimnem i przeszywającem, więcej niż zwykle milczącą i z rysem nieubłaganej determinacyi koło ust. Jedynie konwulsyjny od czasu do czasu ruch ręki, gdy wydawała rozkazy, świadczył o wewnętrznem wzburzeniu.

Pomimo zawieruchy miano polować. Daremnie leśniczy przedstawiał, że nagonka nie chce iść, że tropów nie widać, że śnieg zasypuje oczy... Prędko, prędko... wyruszać w drogę... polować, polować... gonić, choćby na koniec świata, jak ów mityczny dziki łowiec, który leci wiecznie na spienionym koniu, przez jary i knieje, wśród złai zażartych psów.

Jenerał stał na ganku jak mumia — obracał się jak automat — patrzył jak upiór — do niczego się nie mięszał, rozkazy żony wykonywał. Czy on żył jeszcze, czy już był tylko upiorem, nie założyłbym się jeszcze dzisiaj.

Wyruszyliśmy w knieję jak na pogrzeb — jak na zatracenie dnia sądnego. Wicher huczał i strącał nam na głowy zeschłe gałązki i śnieg wilgotny — żadnego kowalika, żadnej sikorki, żadnego jemiołuszka nie ujrzałeś — las był jak morową zarazą wybity — a my, na przekór śniegom i wichrom, darliśmy się naprzód... już nie jak myśliwi, lecz jak zbóje.

Darmo obstawiliśmy najbliższy miot. Prócz ponurego świstu wiatru nie było nic słychać, ani rogu, dającego hasło do nagonki, ani huczków, ani żadnego żyjącego stworzenia.

Wtem padł strzał... Ze zdumieniem zwróciliśmy się ku stanowisku, skąd nas huk doszedł. Było to stanowisko jenerała. Najbliżsi poczęli biegnąć z oznakami przerażenia. Wreszcie znaleźliśmy się wszyscy razem. Na ziemi leżał jenerał z roztrzaskaną głową — koło niego wypalona dubeltówka. Nad nim stała „kawka“ groźna, wyniosła, ponura, z brwiami demonicznie ściągniętemi i wzrokiem, w którym była cała przepaść piekła dantejskiego, gdzie od wiecznych lodów szpik w kościach krzepnie...

* * *

Tak się skończyło to straszne polowanie na wilki.

W całej okolicy nie mówiono przez kilka tygodni o niczem innem, tylko o nieszczęśliwym wypadku na polowaniu, na którem jenerałowi strzelba w sam łeb wypaliła, a Kazimierz od postrzału w nogę, mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, tak prędko na gangrenę skończył.

„Kawka“, jako żałobna wdowa, porzuciła kolor popielaty i została wyłącznie przy czarnym. Pochowawszy męża przyzwoicie i zabezpieczywszy sobie po nim również przyzwoitą pensyę, wyjechała do stolicy.

Od tego czasu nie polowałem już nigdy z żadną kobietą. Boję się ich w kniei. Wolę, gdy smażą konfitury, kołyszą dzieci, lub siedzą przy krosnach.... *St.*

Z obcych światów.

Łowy na lwy w Algierze.

Pismo *Ausland* podaje następujące szczegóły o dzisiejszych polowaniach na lwy w północnej Afryce:

Jeszcze zawsze panują szczególne wyobrażenia o zwierzostanie tych olbrzymich przestrzeni, które, na północ od Sachary aż ku wybrzeżom morza Śródziemnego się rozciągają. Dla wielu ludzi jestto coś na kształt owych bajecznych krain, które roją się od olbrzymich zwierząt, i gdzie wedle powszechnego mniemania słonie, lwy, nosorożce i żyrafy całemi gromadami się włóczą. Tymczasem wszystko to jest już tylko wytworem wyobraźni, opartym na podaniach dziejowych. W zamierzchłej przeszłości bywały prawdopodobnie słonie w Maroku — przynajmniej twierdził Strabo, że ztamtąd pochodziły; dziś wszakże jest to fakt niezaprzeczony, że w Tripolis, w Tunis, w Algierze i Maroku i w całym południowym pasie puszcz, nie ma już ani śladu słoni. Darmo szukałbyś także nosorożców lub żyraf.

W ciągu kilkoletniego pobytu w północnej Afryce nie napotkałem nigdzie dzikiego słonia, a żyrafę i nosorożca widziałem tylko w klatkach. Większemi zwierzętami drapieżnemi, które, i to nie często, spotykałem, były hyeny i szakale. Kto zwierzęta te widział w menażeryach, jak wyją i wpadają w wściekłość z głodu lub pod batem dozorcy z jaką drapieżnością walczą o kość porzuconą, ten mógł w sobie wytworzyć przekonanie, iż hyeny i szakale należą do drapieżców najniebezpieczniejszych. Przekonanie to wszakże rozwiałoby się po pierwszej lepszej przejażdżce po Afryce. Maurowie i Arabowie nie wiele więcej dbają o hyenę lub szakala, jak o szczura; jest to rodzaj plugastwa, do którego mają wstręt i gardzą niem, lecz się go wcale nie boją. Najnędzniejszy kabyl nie poniżyłby się tak dalece, aby miał wyprawiać łowy na hyeny i szakale; bandolet swój o długiej lufie, krzywy „skimitar“ (szabla) lub jatagan zanadto wysoko ceni, ażeby je miał na hyenie lub szakalu

profanować. Na te plugawe zwierzęta wystarcza kostur, którym je ubija, jeśli mu w drogę wlezą.

Szakal nie staje nigdy we własnej obronie; nawet raniony lub napadnięty przy młodych, porzuca wszystko i umyka. Krótko mówiąc, szakal jest tchórzem i takim zna go w Algierze każde dziecko. Także i o silniejszej znacznie hyenie nie można powiedzieć, aby była odważną. Widziałem raz, jak nieduży chłopak odpędzał w biały dzień kijem kilka hyen naraz, a nawet w nocy, gdy wziąwszy na odwagę snują się hyeny całemi gromadami, pełniąc swój grabarski urząd, nie uważa mieszkaniec północnej Afryki spotkania z temi zwierzętami za straszne lub niebezpieczne.

Jakież więc zwierzę godne strzału znajdzie w Algierze odważny myśliwy, który już nieraz kozicę lub jelenia położył z swej dwururki? Ha, jeśli jest myśliwym bez trwogi, a cierpliwym i wytrwałym, i ma dość czasu do rozporządzenia, może sobie urządzić łowy najszlachetniejsze i w największym stylu. Wszak lew berberyjski, ów król zwierząt, jest zawsze jeszcze mieszkańcem puszcz północnej Afryki. Wśród gąszczy mimoz, okrywających tu i owdzie te piaszczyste przestrzenie, wstrząsa on swą wspaniałą grzywą; owe skaliste wzgórza są zawsze jego schroniskiem; z jednego głazu erratycznego na drugi przesadza potężnemi skokami, a nocą rozlega się w puszczy straszny jego ryk, wywołujący na okół echa jak odgłos gromu wśród chmur.

W żadnym innym kraju afrykańskim nie ma tyle lwów co w Algierze, lecz i tam stają się one z roku na rok coraz rzadszymi. Gérard, pierwszy z sławniejszych łowców na lwy, obliczał ilość lwów w Algierze już przed trzydziestoma laty na 120 sztuk. Od tego czasu nie wzmogła się ta cyfra, To też polowanie na lwy z wynikiem bogatym, należy już i tam do rzadkich wypadków.

Trafiają się od czasu do czasu ostentacyjne łowy na lwy, ale w gruncie rzeczy jest to tylko malownicza i kosztowna zabawka, którą urządzają w biały dzień, z wielką paradą, przy udziale mnóstwa ludzi i koni, lecz z najmniejszą szkodą dla samychże drapieżców pustyni. Dobiera się w takim razie oryentalne siodła, okazałą broń, krajowców w malowniczych kostiumach, dużo odtylcówek, rewolwerów, włóczni, jataganów — i z wielkim hałasem wyjeżdża się z bram miasta w pustynię — na lwa! Przewodnicy, którzy czują, że za masę wyrzuconych pieniędzy wypada przecież to i owo zrobić, aranżują sami senzacyjne sceny. I tak: Arab w pięknym turbanie pojawia się na brzegu zarośli i przysięga na Ałłaha i jego proroka, że w zaroślach siedzi lew. Oczywiście z krzykiem i szaloną odwagą rzuca się cała kawalkada naprzód, przeszukuje każdy krzaczek — lecz lwa niestety... nie ma. Już się wyniósł. Pokazują jego legowisko i przysięgają, że jeszcze ciepłe — ten i ów zapewnia, że mu mignęła przed oczyma lwia grzywa lub ogon — czasem huknie jedna i druga strzelba do tej grzywy, czy ogona — i na tem koniec. Wtedy krajowcy zapewniają, że lew postrzelony, a może i na śmierć ugodzony, ale spadł w przepaść, zkąd go niepodobna wydobyć — i cała kawalkada wraca z tryumfem, upojona obrazami i niebezpieczeństwami... własnej wyobraźni.

Prawdziwe polowania na lwa wyglądają nieco inaczej. Wolne od wszelkich złudzeń i parady, łączą się one z wielu trudnościami, wytężeniami i niebezpieczeństwami, i rzadko kiedy bywają uwieńczone tryumfami bez ofiar. Najwspanialsze zaś łowy na króla pustyni są niezawodnie wtedy, gdy całe pokolenie Arabów, stając w obronie własnego dobytku, wybiera się z niebezpieczeństwem życia na groźnego drapieżcę, który jest w stanie w ciągu jednego miesiąca trzodę całego pokolenia zdziesiątkować.

...Byliśmy gośćmi jednego z górskich pokoleń arabskich, gdy właśnie wypadek taki zaszedł. Byli to ludzie ubodzy, a podejmowali nas z wylaną gościnnością — gdy więc zaszła konieczność obrony przed lwią rodziną, która, osiedliwszy się w niedostępnej jaskini, noc za nocą wyrządzała im szkody w bydle, — staraliśmy się im odwdzięczyć, biorąc udział w wyprawie na lwy.

Arabom górskich okolic niebrak odwagi, siły fizycznej i wytrwałości, lecz nie mają odpowiedniej broni. Bandolet skałkowy nie wytrzymuje oczywiście żadnego porównania z naszą nowoczesną bronią palną. Niedostateczność broni starają się też wynagrodzić wielką liczbą myśliwych, choć to nie daje żadnego bezpieczeństwa, gdyż widziano już nieraz lwa, rzucającego się i na setki ludzi.

Przepyszny był to poranek. Niebo płonęło na wschodzie purpurą, a z morza mgły, która spadała jak płaszcz z ramion całego łańcucha gór granitowych, wychylały się tu i owdzie jasne szczyty, nito dyamenty czarne, gorejące w promieniach słońca. Na jasnym lazurze nieba, wysoko, gasnęły zwolna gwiazdy i księżyc. Powstało słońce i wnet złota jasność zalała całą okolicę.

Byliśmy wśród gromady jaskrawo odzianych Arabów. Młodzi i starzy — wszystko, co tylko było wstanie broń dźwignąć, wyruszyło w pole. Niewielu tylko stanęło uzbrojonych w owe długie, małokalibrowe, o gładkiej lufce, rusznice; przeważna część niosła włócznie i jatagany. Stary naczelnik plemienia szykował wyprawę, wydając rozkazy krótko i węzłowato.

Położenie jaskini, gdzie przebywała lwia rodzina, było dobrze znanem. Odkomenderowano też znaczną liczbę włóczników, ażeby, okrążywszy jaskinię, zamknęli ją kołem włóczni. Wśród krzyku i szczęku broni ścieśniano ów pierścień, a ci, co mieli broń palną, postępowali wprost ku otworowi jaskini. Zanim zdołaliśmy się zbliżyć na strzał, ukazał się przed jaskinią lew i wstrząsał grzywą — potem zniknął i znowu się pojawił, gdyśmy stanęli na tysiąc kroków od jaskini. Arabowie huknęli z swych rusznic, lecz oczywiście tylko na wiwat, bo żaden ich pocisk nie mógł tak daleko stać się groźnym. Lew ryknął straszliwie i znów się schronił.

Przyszliśmy wreszcie na 200 kroków od jaskini i tu zajęliśmy już stanowiska, gotowi do strzału. Do jaskini wiodła bokiem wązka ścieżynka, nas zaś dzieliła od niej przepaść na 40 stóp szeroka. Chcąc drapieżców wypłoszyć z ich legowiska, kazaliśmy Arabom znowu wrzeszczeć, lecz nic to nie pomagało. Lwy się nie pokazywały. Po krótkiej naradzie przyjęliśmy więc propozycyę młodego Araba, który ofiarował się wyjść po ścieżynce ku jaskini, tam nagromadzić chrustu przed jej otworem i zapalić. Włócznicy podnieśli znowu wrzask piekielny, myśmy chwycili broń, aby być gotowymi do strzału — a młody Arabczyk puścił się na niebezpieczną wyprawę. Wykonał swe zadanie z podziwienia godną odwagą i zimną krwią; nagromadził szybko łomaków i podpalił. Zaledwie zaś wrócił, nagrodzony gorącemi okrzykami uznania, buchnął cały stos płomieniem i dymem tuż przed otworem jaskini.

Lwom się to nie podobało; odezwały się dwa groźne ryki — i wkrótce lew i lwica wyskoczyły z jaskini. Ujrzawszy groźnych przeciwników, strzeliliśmy obaj z moim towarzyszem podróży. Lecz ruchliwość lwów była niesłychana, a strzały nasze zbyt gorące, więc chybiliśmy; nie lepiej po-

wiodło się Arabom, którzy huknęli z swych skałkówek. Lwica rzuciła się wówczas na ścieżynkę, a lew, przesadziwszy potężnym susem czterdziestostopową przepaść, wpadł odrazu w sam środek Arabów. Nie widzieliśmy tego na razie, gdyż całą naszą uwagę poświęciliśmy lwicy, która, ugodzona dwoma kulami i dalszemi dwoma poprawiona, legła wreszcie u stóp naszych. Dopiero wtedy zwróciliśmy się ku naszym towarzyszom. Jakiż tu straszny widok oczom naszym się przedstawił! Chociaż broczący z wielu ran, rzucał się lew z całą wściekłością pomiędzy Arabami, niosąc na okół śmierć i zniszczenie. Tu roztrzaskał czaszkę jednem uderzeniem łapy, innemu rozszarpał plecy — ranni i zabici okrywali plac boju. Dopiero gdyśmy mu posłali parę kul z naszych odtylcówek i gdy Arabowie utopili w nim jeszcze sześć włóczni — padło straszne zwierzę bez życia.

Zniszczenie wokoło niego było straszne: pięciu Arabów zabitych, czternastu rannych! Między rannymi znalazł się niestety i ów młody Arabczyk, ktory z taką pogardą życia ogień przed otworem jaskini rozniecał. Szeroka blizna od szyi przez plecy będzie mu odtąd przypominała czyn jego bohaterski.

Naczelnik pokolenia dziękował nam za pomoc i oświadczył, że nie uważa, aby zwycięztwo było zbyt drogo okupione, bo nieraz 30 i 40 ofiar pada pod zębami i pazurami rozjuszonego drapieżcy.

W jaskini znaleziono dwoje dymem odurzonych lwiąt, które następnie sprzedano w Algierze do jakiegoś ogrodu zoologicznego, czy menażeryi.

Gdyśmy wrócili do „duaru“ (do wsi), mięszały się okrzyki zwycięztwa z płaczem nad poległymi i z jękami rannych. Młodego naszego bohatera obnoszono z tryumfem, a chociaż omdlewał z bolu i znacznego krwi upływu, przecież około ust jego igrał uśmiech szczęścia i dumy, że stał się przedmiotem podziwu współbraci.

KORESPONDENCYE.

Dobromyśl we wrześniu 1889.

(Wyprawa na wilki.)

Po kilku latach znalazłem się znowu w tym roku, dzięki uprzejmemu zaproszeniu państwa A. Russanowskich, w zabranym kraju, słynącym z gościnności, w ojczyźnie mogił i kurhanów, tyle dla nas uroku mającej.

Zaproszeni przez p. Marcelego Sobańskiego, w licznem i miłem towarzystwie, udaliśmy się d. 9. bm. do Pieńkówki, gdzie było zapowiedziane polowanie na wilki w lesie. Dzień śliczny jesienny sprzyjał naszym myśliwskim zamiarom, a rezultat polowania przeszedł nasze najśmielsze nadzieje, a to, niech mi będzie wolno tutaj powiedzieć, przeważnie dzięki trudom i zabiegom starszego syna gospodarza, p. Zdzisława Sobańskiego, słuchacza naszej Jagiellońskiej „*Almae matris*“, która, tak jak za najświetniejszych swych czasów, nietylko szerzy naukę i wiedzę, ale w swych synach kształci rycerskiego ducha.

Polowanie, wzorowo prowadzone przez p. Zdzisława Sobańskiego, który konno dowodził naszą myśliwską drużyną, trwało ledwo dwie godziny i w dwóch po sobie następujących miotach legło trupem od celnych strzałów zdaleka przybyłych gości, dziesięć wilków.

P. Jan Brzozowski ubił 3 sztuki, p. Stanisław hr. Grocholski 2, książę Paweł Woroniecki 1, p. Ludwik Jełowicki 1, p Kazimierz Pochwalski, ulubiony nasz artysta-malarz z Krakowa 1, niżej podpisany 1 i służba leśna 1 sztukę.

Upojeni powodzeniem, wróciliśmy do pałacu Pieńkowieckiego, gdzie wśród nagromadzonych zabytków rodzinnych i dzieł sztuki, zasiedliśmy do wspólnej uczty. Omawiając zdarzenia dnia tak pamiętnego, wnoszono liczne toasty: gospodarstwa domu i ich następców, króla polowania i tych, co pierwszy raz mieli sposobność z wilkiem się spotkać, unosząc najmilsze wspomnienia dnia tego, tak mile i pożytecznie spędzonego. *Józef Skarbek Borowski.*

Z Stryjskiego we wrześniu.

(Walka na śmierć.)

Z zamiłowaniem chowam i oswajam dzikie zwierzęta, osobliwie ptaki. Okoliczni wieśniacy, wiedząc o tej pasyi mojej, skoro który dzikie jakie zwierzę uchwyci lub z gniazda wybierze, takowe do mnie przynosi.

Tym sposobem przyszedłem do lisa, kruka, jastrzębia, które po części już oswoiłem. Oprócz tych, posiadam i dwa puhacze, które przysposabiam do „berła“, by użyć ich jako wabik na inne ptactwo, osobliwie na wrony szkodnice, by strzelać je na kopy. Dla puhaczy sporządziłem obszerną, z grubego drutu klatkę. Ostrzegam, że puhacz w drewnianej klatce trzymany, z czasem przegryzie drewniane szczeble i ucieknie.

Wyżywić dwa puhacze, niełatwa sprawa; niezmiernie bowiem są żarłoczne. Co było wron i srok w pobliskiej okolicy, wszystkie wystrzelałem, na pożarcie puhaczom podając. Nawet padlinę konsumują, ależ tej nie zawsze dostanie.

Zabłociło się — ani „nosa niewytknąć“, żeby ubić gdzie jaką wronę, lub dzikiego ptaka. Już wieczór się zbliża, a moi wychowańcy jeszcze na czczo. W ostateczności, w sekrecie przed matką moją, udusiłem kurczaka i puhaczom na żer porzuciłem. Jedyne do przechowania kradzionych rzeczy, pożarły kurczaka wraz z pierzem. Lecz cóż to niewielki kurczak na dwu takich żarłoków? Noc całą tłukły się po klatce jak opętańce, prawdopodobnie z głodu. Następnego dnia, wczesnym rankiem, mimo deszczu wybrałem się na rozdobędę ze strzelbą. A tu jak na przekór pusto w lesie i na polu. Wrony i sroki — jedne się ubiło, drugie przepłoszyło. Ha! — myślę z rozpaczą, jak ongi mieszkańcy Krakowa — trzeba znowu coś z domu podać na pożarcie tym dwom smokom wawelsklm. Napotykam chłopa, który nowego niósł mi wychowanka, a to młodego, lecz zupełnie już wyrośniętego jastrzębia, błotniaka *(Falco aeruginosus)*. Ucieszył mnie ten nabytek, cóż, kiedy obie nogi miał połamane, które mu chłop w chwili podrywania się do lotu podrzuconym kosturem uszkodził. Nabywszy jastrzębia, niosę

go jako ofiarę, na pożarcie przez puhacze przeznaczoną. Wrzucam go do klatki między żarłoków, i czekam co to z tego wyniknie.

Na razie zgłupiały puhacze, bom im dotąd nie podawał żywego żeru. Jastrząb, nie mogąc ustać na połamanych obu nogach, usiadł na ogonie, jak kangur, gdy się do rozpaczliwej obrony szykuje, i przeczuwając wrogów, począł kłapać rozwartym dzióbem w stronę puhaczy, które patrzały na niego złowróżbnem okiem, najeżywszy pierze. Było to niejako hasłem do rozpoczęcia boju. Oba puhacze z impetem rzuciły się na jastrzębia — ten jednak silnem uderzeniem dzióba w głowy napastników, zmusił ich do odwrotu. Puhacze kilkakrotnie, a zawsze bezskutecznie, ponawiały atak. Naraz jeden z puhaczy wyskoczył na bant, pod którym jastrząb na podłodze siedział, i schyliwszy głowę, patrzał w jastrzębia. Puhacz pozostały na dole ponowił atak, i w chwili, gdy jastrząb z rozpiętemi skrzydłami i wyciągniętą szyją odpierał atak, siedzący na bancie puhacz, jak błyskawica pochwycił jastrzębia za szyję i w górę podciągnął. Tej samej chwili puhacz z ziemi atakujący rzucił się na ubezwładnionego jastrzębia i w okamgnieniu, wspólnie z drugim towarzyszem, rozszarpały biednego ptaka, wraz z pierzem łapczywie pożerając.

Niechże kto zaprzeczy, że zwierzęta nie posiadają daru kombinowania, a jak w tej sprawie, wymyślania wojennych fortelów? Niemniej nikt nie zaprzeczy, że mają osobny dar wzajemnego porozumiewania się mimicznie. Oba puhacze wykonały plan ataku, który mógł być tylko wynikiem poprzedniego porozumienia. *Kazimierz Kostecki.*

Odrzechowa (pow. Sanocki) we wrześniu.

(Stan zwierzyny.)

Pomieszczane w *Łowcu* ze wszystkich stron kraju korespondencye, zachęciły mnie także do podania niektórych wiadomości, dotyczących stanu zwierzyny w naszym zakątku. Zniewala mnie do tego i to także, że nie spotykam nigdy korespondencyi z naszych stron, które przecie nie należą do tych, o których nic już nie dałoby się powiedzieć — owszem, mamy i my tu swoje dziwy.

Przed laty ośmnastu doznawał myśliwy u nas niemiłego rozczarowania, gdy przeszedł wzdłuż i wszerz las przeszło tysiąc pięćset morgów obszaru mający i nic lub co najwięcej lisa lub zająca ubił. Przyczyną tego smutnego stanu było to, że w całej okolicy polowano tylko z psami, które wystraszały zwierzynę z naszych stron. Jeśli zaś na takiem polowaniu napotkano sarnę, bito bez wyjątku i bez względu na czas. Dopiero od czasu, jak w polowaniu psy zastąpiono nagonką i szkodniki tępić zaczęto, stan zwierzyny stawał się coraz korzystniejszy, tak, że dziś już śmiało można powiedzieć, że jest pomyślnym.

Zajęcy stosunkowo mamy najmniej. Obsiewamy dla nich brzegi lasów żarnowcem, co daje im żer i zapobiega w części ogryzaniu porą zimową młodych pędów. Stan sarn jest zadowalniajacy. Co roku teraz bijemy 20 do 25 sztuk rogaczy. Nadmienić tu muszę, że te ostatnie niemałe szkody zrządzają w kulturze leśnej, albowiem miejscami całe szeregi młodych drzewek, a szczególnie modrzewi, obcierają rogami. Podobne szkody zrządzają jelenie.

W roku 1886. i 1887. mieliśmy po dwie sztuki, w roku zeszłym były trzy, a w tym roku liczymy już pięć sztuk jeleni. Przybywają one do nas z wiosną, a późną jesienią, skoro pierwszy śnieg upadnie, wynoszą się prawdopodobnie w połoniny. Dla sarn w lesie urządzamy lizawki, a zimą stawiamy koziołki z koniczyną i owsem, aby zwierzyna miała dostatecznie żeru i nie ogryzała zagajeń sosnowych.

Przed czterma laty pojawiły się dziki, które tak prędko się rozmnożyły, że w roku zeszłym ubiliśmy 15 sztuk. Na pozostałe kilka sztuk zamyślamy wkrótce urządzić polowanie.

Z drapieżców na pierwszem miejscu położyć musimy rysia. W roku ubiegłym były trzy sztuki. Usiłowania, aby je ubić, spełzły na niczem w skutek ogromnych zasp śnieżnych, w tak górzystej okolicy jak nasza. W zimie nierzadko można było napotkać rozdartą sarnę, ofiarę tego drapieżcy. W ciągu tej wiosny i lata nikt ich nie widział, być więc może, że się wyniosły w inne okolice. Lisy, wałęsające się po lesie psy i koty, drapieżne ptactwo, często jeszcze napotkać można w lesie. Szkodniki te najwięcej szkodzą zającom i ztąd pochodzi, że zajęcy mamy stosunkowo bardzo mało. Dzięki opiece starostwa i gorliwej służbie posterunku żandarmeryi w Zarszynie, liczba kłusowników znacznie się zmniejszyła i jest nadzieja, że w przyszłości jeszcze rzadziej będzie się ich spotykać.

W końcu z przyjemnością zaznaczyć musimy, że myśliwi okoliczni dokładają starań, aby utrzymać korzystny stan zwierzyny. Ta okoliczność każe się spodziewać, że w przyszłości w naszych stronach myśliwy będzie czuł prawdziwą przyjemność. *K. S.*

Teleśnica-sanna we wrześniu 1889.

(Choroba racic u dzików.)

Skutkiem posuchy w całym kraju, więc i u nas, u inwentarza pojawiła się epidemicznie choroba racic i pyska. U nas w każdej niemal wsi bydło rogate i trzoda chlewna ulega tej chorobie.

Pewnego dnia w miesiącu sierpniu b. r. donosi mi leśny, że widział dużego odyńca, który, ogabnięty chorobą racic, jak nasze chore świnie domowe, nie mogąc stąpać na poranionych racicach, na widok człowieka uchodził w las na kolanach. Nie spodziewając się podobnej przypadłości u dzikiego zwierzęcia, na pół wierzyłem leśnemu, na pół nie. W kilka dni jednak naocznie się o tem przekonałem, wracając z pola pod knieją, którą dzik za stałe barłożysko był obrał. W istocie był to duży odyniec. Blisko niego będąc, a spokojnie się zachowując, dobrze widziałem, że kroczył na klęczkach — przytem z pyska toczyła mu się ślina, dowód, że cierpiał równocześnie i na chorobę pyska. Odyńce mają zwyczaj, że przed „lochaniem“ się samur chodzą samopas, zdala od reszty stada się trzymając; toż go napotkać było można. Jest więc możliwość, że i w reszcie stada, które, jak mi donoszono, jest w którymś ostępie, wybuchła ta choroba. Chore na nogi, nie mogąc dalszych, za żerem przedsiębrać wycieczek, prawdopodobnie „buchtują“ w pobliżu swych barłożysk.

Wszelkich starań dołożę, żeby się przekonać, czy i pomiędzy sarnami nie wybuchła ta zaraza. O czem, gdy się przekonam, Sz. Redakcyi *Łowca* donieść nie omieszkam.

Franciszek Niesiołowski.

Siemiginów we wrześniu.

(Sarna z rogami.)

W Siemiginowie w b. m. odbyło się pierwsze polowanie w kniei. Polowaliśmy na zające. Huczki, zająwszy miot, postępowali naprzód. Naraz, czego się nie spodziewano, na

linię strzelców wyszła sarna. Zdala widać było rożki, więc p. H. strzelił i ubił. Jakież było jego i wszystkich obecnych zdziwienie, gdy w rogaczu poznano kozę. Rożki, odmiennego niż u rogacza były kształtu. Były niekształtne, mocno chropowate i znacznie krótsze, tylko grubsze niż koźle. Podobna „*hic mulier*“ rodu sarniego, jest dość rzadkim, zda mi się, okazem. *Hipolit Sozański.*

Warszawa we wrześniu.

(Towarzystwo myśliwskie. — Myśliwstwo w armii.)

Tutejszy oddział petersburskiego Towarzystwa racyonalnego myśliwstwa nie rozpoczął jeszcze właściwych swych czynności, polegających na ochronie pożytecznej zwierzyny i tępieniu szkodliwej, a może za wiele już zapuścił się w kierunku zabaw i ćwiczeń, mających tylko cechę miejskiego, bezpożytecznego sportu. *Rolnik i Hodowca* (Nr. 35.) wystąpił z krytyką tych pierwszych czynności Towarzystwa, krytyką, której nie można pod wielu względami odmówić słuszności. Oto co pisze:

„Przed kilku miesiącami założone u nas zostało Towarzystwo racyonalnego myśliwstwa, jako filia takiego Towarzystwa Petersburskiego. Kwestya ochrony zwierzyny już oddawna należała do najpilniejszych spraw naszego gospodarstwa krajowego, to też od pierwszej chwili powstania projektu o Towarzystwie myśliwskiem, nietylko nemrodzi, ale całe ziemiaństwo z wielką przychylnością o niem się odzywało, a gotowość poparcia była ogólną. Prędzej, aniżeli spodziewać się było można, dzięki poparciu sfer wpływowych, ustawa Towarzystwa została zatwierdzoną, zarząd ukonstytuowany, działalność rozpoczęta.

„Przepisy ustawy, w tem i owem niedokładne, nie przesądzały sprawy, bo zmienić je lub uzupełnić można, przekonawszy się w praktyce o ich wadliwości; natomiast pierwsze kroki instytucyi nabierały niezmiernego znaczenia, z nich bowiem ocenić było można główne kierunki, których się instytucya trzymać zamierza. Poważnie i z zainteresowaniem czekano na „pierwsze słowo“ Towarzystwa i niestety — wypadło ono nie tak, jak się ogół miał prawo i nadzieję spodziewać.

„Każda instytucya o wielkiej liczbie uczestników, mająca zadania poważne lecz połączone jednocześnie z zabawą, z wielkim taktem i rezerwą strzec powinna, by cele drugie nie zagłuszyły pierwszych. Jeśli z chwilą rozpoczęcia działalności instytucyi, ujawniają się kierunki, dążące przeważnie do uczynienia jej przedmiotem miłej rozrywki, stanie się ona resursą, klubem, ale nie Towarzystwem ochrony i zajęcia się poważnego sprawą, będącą jej godłem i obowiązkowem zadaniem. Tymczasem pierwsze uchwały zarządu tyczą się strony igrzyskowej sprawy. Piękny i drogi lokal, nie według miary ubożuchnych funduszów instytucyi, salony do kart, do bilardów, komfort i szyk, bardzo to piękne rzeczy, ale mogące koronować dzieło, nie zaś tworzyć jego podstawę. Mamy więc wielkoświatowy Yacht-club, z którego usług korzystać nie będą ci, którzy głównie nań się składają, tj. uczestnicy prowincyonalni.

„Pojąć nam trudno, jaką drogą Towarzystwo spełnić zamierza swe cele utylitarne, bez współudziału prowincyi. Ograniczywszy wpływ i zainteresowanie się Towarzystwem członków prowincyonalnych, w zawiązku skazaną jest instytucya na najkonieczniejsze fiasco. *Intra muros* Warszawy operująca instytucya, niczego nie dopnie, bo w polach i kniejach znaleść się ona powinna. Odpowiedzą może, że zadania te spełniać będą członkowie prowincyonalni i byłoby to rzeczą możliwą, gdyby ci człokowie zabierali głos w sprawach ich interesujących; bo do odbierania tylko dyspozycyi, wątpimy, by się chętni znaleźli.

„Są inne jeszcze objawy działalności młodego Towarzystwa, o wartości niewiadomej. Szumnie ogłoszone konkursy strzelnicze, wielką radość sprawiły „Kuryerom“, dając im możność codzienego zapełniania kilkunastu wierszy sprawozdaniami, ale komu one korzyść przynoszą? Jacyś trzej „nieśmiertelni“ pod tajemniczemi znakami X. N. itp. zmieniają się kolejno i pudłują zawzięcie w strzelnicy, trudząc tylko członka dozorującego ze strony Towarzystwa; prawdziwi zaś strzelcy najmniejszego zainteresowania do zabawy tej nie okazują.

„Strzelanie do gołębi, z pewnością laurów członkom nie przyniesie. Zagranicą prawie ogólnie na pół barbarzyński ten zwyczaj zarzucono, a u nas sport ten jest zupełnie nie na miejscu, zwłaszcza gdy Towarzystwo, mające się zająć ochroną zwierzyny, staje się jej tępicielem.“

Od Towarzystwa myśliwskiego zależeć będzie, ażeby dalszem swem postępowaniem zaprzeczyło tym pessymistycznym zapatrywaniom. Nadchodzi właściwy sezon łowiecki, jest więc najlepsza ku temu sposobność.

Ostatnie, urządzone przez Towarzystwo na polu Mokotowskiem strzelania do gołębi, odbyły się w dniach 29. sierpnia i 6. 20. i 21. bm. Konkursów przy pierwszem z tych strzelań było tylko trzy. W konkursie I. do 3 gołębi (handicap) stanęło 14 strzelców, którzy dali 58 strzałów, z tych 38 celnych. Pierwszą nagrodę (6) otrzymał p. Wysocki, zdobywszy ozdobny kielich srebrny wyzłacany, drugą (5) pan Kryński, również kieliszek srebrny, trzecią (meta 29 metrów) pułkownik Małychin (3), kielich srebrny, i czwartą p. Bloch (2), żeton srebrny. Do konkursu II. o 1 gołębia (handicap) stanęło 19 strzelców, którzy dali 59 strzałów, z tych 30 celnych. Nagrodę pierwszą przyznano p. Wysockiemu (zegarek amerykański), drugą, srebny żeton, otrzymał p. Koelichen, trzecią p. Łukowski, żeton srebrny i ostatnią ks. Lubecki, żeton srebrny. W ostatnim konkursie do 1 gołębia (handicap) stanęło 12 strzelców, dając 33 strzały, z tych 23 celnych, a 29 do kul gipsowych. Konkurs ten był rozgrywany, gdyż pułkownik Małychin z p. Egertem dali po 17 strzałów. Z powodu ciemności, która nie pozwalała na dalsze rozgrywanie, zaproponowano losowanie i pierwszą nagrodę, tacę srebrną, otrzymał pułkownik Małychin, drugą (filiżankę srebrną i żeton srebrny) otrzymał p. Egert, a ostatnią, żeton srebrny, p. Kryński. Ogółem zabito 91 gołębi.

Przy strzelaniu w dniu 6. września, oprócz żetonów złotych i srebrnych, stanowiły także nagrody: lustro sporych rozmiarów w srebrnej oprawie, tace bronzowe, noże myśliwskie itp. W pięciu pulach, jakie rozegrano, zastrzelono przeszło 200 gołębi, a bohaterem dnia był 11-letni Mikołaj Małychin, syn pułkownika. Malec zdystansował wielu wytrawnych strzelców, a nawet własnego ojca, który sam jeden tylko strzelał z najdłuższej mety (29 metrów) przez co dawał wielkie „for“ swoim współzawodnikom. W pierwszej puli nagrodę główną otrzymał Mikołaj Małychin syn, drugą p. X., a trzecią p. Artur Śliwiński, który ciężko ją zarobił, gdyż w skutek zbyt silnego naboju twarz sobie opalił. W drugiej puli nagrody według kolei zdobyli pp.: X., Śliwiński i Egert; w trzeciej pp.: Śliwiński, Egert i Koelichen; w czwartej pp.: Egert, Małychin syn i Prażmowski; w piątej wreszcie pp.: Małychin syn i Egert. Na zakończenie kilku celnych strzelców, pomimo zapadającego

zmroku, urządziło strzały dubeltowe, czyli do dwóch gołębi naraz. W tym popisie po za konkursem odznaczyli się: pułkownik Małychin i p. Egert.

W dniu 20. bm. zabito 180 gołębi, nagrody zaś za największą ilość celnych strzałów otrzymali pp. pułkownik Małychin, br. Egert, hr. Morsztyn, W. Stokowski i kapitan Grekow. Dnia 21. bm. konkursy, ze względu na dzień krótki, rozpoczęły się o godz. 12. w południe. Strzelano do 200-tu gołębi, z liczby tej zabito 170. Nagrody w cennych przedmiotach otrzymali prawie ci sami strzelcy, co i dnia poprzedniego. W konkursie dubletów zwyciężył pułkownik Małychin. Zapowiedziano jeszcze dwa konkursa na przyszły piątek i sobotę.

W carstwie, w sferach wojskowych, zajmują się wiele wojskowemi komendami myśliwskiemi, które mają zaprawiać żołnierza do trudów i niewygód przebywania pod gołem niebem, wyrabiać odwagę, przebiegłość, ostrożność i samodzielność, zarówno cennych w czasie wojny z ludźmi, jak przy wojowaniu z szybkonogim czy drapieżnym zwierzem. Lecz jest obawa, że komendy te, przydatne może dla wojska, myśliwstwu raczej wielkie cięgi niż pomoc przyniosą — potworzą bowiem całe bataliony myśliwych, którzy potrafią zwierza łowić i gubić, ale o ochronę i rozmnażanie go nie wiele troszczyć się będą.

Nie wszyscy zapatrują się też różowo na tę instytucyę, a *St. Petersburskie Wiedomosti* przestrzegają wprost przed przesadą i fałszywym kierunkiem tych komend.

„Komendy myśliwskie — pisze pomieniony organ petersburski sarkastycznie — są dziś bardzo w modzie. Niemal każdy oddział wojska pragnie pochwalić się swymi myśliwymi i zwrócić baczną uwagę na to, jak ich kształcić należy. Częstokroć czytujemy artykuły o czynach komend myśliwskich — czynach, dodajemy nawiasem, najzupełniej pozbawionych doniosłości. Artykuły te nie zawierają w sobie nic pouczającego, a drukują się jedynie dlatego, że są modne.

„Co do wymagań, stosowanych do komend myśliwskich, to wyznać należy, że są nader różnolite, a niektóre z nich uzasadnić się nawet nie dadzą. Jedni chca, żeby komendy musiały oznaczać słabe pozycye przeciwnika; drudzy, żeby znajdowały plany pozycyj rzeczonych; jeszcze inni zasadzają działalność komend na mniej lub więcej zręcznem skakaniu z trampoliny; dalej słyszymy o tem, iż komendy mają się poświęcać wyłącznie polowaniu lub łowieniu ryb, przeprawom różnym itd. Oczywiście w sprawie wyrabiania komend myśliwskich i istotnego ich przeznaczenia, niemasz idei stale wytkniętej, lub obmyślanej. Każdy oddział zajmuje się tem, co sam uzna za dobre, niektóre zaś z nich robią wszystko tylko dla oka. Wszystko to może bardzo łatwo sprowadzić sprawę na całkiem fałszywe drogi.

„Komendy myśliwskie nie stanowią rzeczy nowej u nas. W czasie wojen minionych, zwłaszcza zaś kaukazkiej, wyrobił się był u nas całkiem określony typ żołnierza-myśliwego. Historya też zapisała ich na swych kartach, a przeto mamy i wzory, do których zastosowanie się byłoby rzeczą najlepszą i najwłaściwszą.

„Żołnierz-myśliwy typu dawnego nie był ani jakimś żonglerem, ani też gimnastą. Nie wymagano odeń ani wiadomości taktycznych, ani też strategicznych. Byli to ludzie silni a odważni, o chłopskiem rozumie i rozwiniętej energii w działaniu. Takim też winien być i dzisiejszy żołnierz-myśliwy. Gdy ich nauczymy czytania i pisania, obeznamy z kompasem, mapami i planami, to będziemy mieli to, czego potrzeba i niema dobrej racyi dalej kroczyć po tej drodze. Myśliwy żołnierz winien się kształcić na danej miejscowości, uczenie się zaś w klasach wielolicznych wiadomości o armii nieprzyjacielskiej jest rzeczą nader korzystną, ale tylko na pierwszy rzut oka, realnych bowiem korzyści nie przynosi, zaś zniechęca jedynie żołnierzy do wstępowania do komend myśliwskich. Polowanie na zwierza wciąga ludzi i zachęca, wyrabia w nich odwagę i wytrzymałość, przyzwyczaja do lasu i może być poczytanem za najlepszy sposób przygotowywania myśliwych. W każdym zaś razie ma stanowczą przewagę nad ćwiczeniami akrobatycznemi lub żonglerskiemi. Takiegoż zdania byli dawniej wojskowi, pełniący służbę na Kaukazie. Dzisiaj chcą, żeby komendy myśliwskie zastąpiły kawaleryę, oficerów sztabu generalnego, topografów itd. Na manewrach ujawniło się dowodnie, że dowódca oddziału, komenderujący częstokroć kilku szwadronami, wysyłał na dalsze rekonesanse myśliwych piechotyńców. Stawiano ich na nocnych odległych posterunkach, a powierzano także i czynności, z któremi poradziłby sobie chyba tylko oficer sztabu generalnego. Tego rodzaju skierowanie działalności komend myśliwskich nie odpowiada chyba rzeczywistemu ich przeznaczeniu.“

KRONIKA.

Nad zmianami ustawy łowieckiej na Morawie, obradowała dnia 18. września w Bernie specyalnie w tym celu zwołana ankieta, której przewodniczył namiestnik Loebl. Członkami ankiety byli reprezentanci namiestnictwa, Wydziału krajowego i morawskiego Towarzystwa łowieckiego. Substratem obrad był nadesłany przez ministerstwo projekt ustawy, obejmującej wszystkie działy łowiectwa, w szczególności przepisy, tyczące się ochrony zwierząt, kart myśliwskich, wynagrodzenia za szkody w łowiectwie itd. Najbliższemu sejmowi będzie więc przedłożony projekt, stanowiący całokształt ustawy łowieckiej.

Z życia myśliwskiego cesarza Franciszka Józefa. *Linzer Volksblatt* podał kilka szczegółów z życia myśliwskiego cesarza Franciszka Józefa w okolicach Ischlu. Specyalnie opisaną tam jest sielankowa gospoda w Langwies, między Ischlem i Ebensee, w której często członkowie domu cesarskiego podczas górskich wycieczek lub polowań odpoczywać zwykli. Bywał tu niegdyś śp. arcyks. Franciszek Karol i codziennie prawie po południu kazał sobie podawać napój chłodzący. Gospodyni w Langwies wiele nadto widywała u siebie dostojnych osób, jak: cesarza niemieckiego Wilhelma I. i Fryderyka, ks. Bismarka i t. d. I arcyksiężna Marya Walerya wyszukała sobie tu upodobany kącik, zkąd, unikając rozgłosu, świadczy wiele dobrodziejstw ubogiej ludności. Nie brak tu również i weselszych zdarzeń. Wiadomo, jak cesarz chętnie oddaje się rozrywce polowania, a kto go widział w kostiumie myśliwskim, mógł się przekonać, jak go ta szlachetna zabawa odmładza. Raz siedziało dostojne grono myśliwskie w izbie gospody w Langwies, gdy nadszedł drwal, który nie znał obecnych i usiadł z zwykłem pozdrowieniem na niezajętem jeszcze miejscu przy stoliku, gdzie zwykł był posilać się. Zatrudnionemu gorliwie nakładaniem fajki, nie przyszło do głowy troszczyć się o swoje otoczenie; wśród rozmowy myśliwych puszczał ciągle kłęby dymu, które się unosiły nad stołem. Nagle uderzył go wyraz „wasza cesarska mość“, lecz sądził, że się przesłyszał. Lecz gdy powtórnie użyto tego tytułu, wybiegł nagle, nie mówiąc ani słowa, z izby. Lecz cesarz wyszedł za nim i zapytał nieprzytomnego prawie o nazwisko i zatrudnienie. Z trudnością wydobył z siebie zapytany

odpowiedź, dodając, że służył w wojsku i że był w tej i owej bitwie. Cesarz uścisnął mu najłaskawiej rękę, w której znaczny dar pozostał.

Z polowań na kozice opisany jest następujący szczegół: Cesarz, mając obok siebie ulubionego swego, obecnie nieżyjącego już strzelca Neubachera, którego zwano „Steinhans“, zapuścił się w knieję. „Steinhans“ zwrócił uwagę monarchy na kozicę, stojącą pod pionowo wystającą skałą.

— Przecież nie mogę strzelać do niej — rzekł cesarz.

— Gdyby W. C. Mość raczył pozwolić się wziąć za kołnierz, mógłby się wtedy złożyć.

Z uśmiechem zezwolił cesarz i rzekł:

— Ale trzymaj mnie dobrze.

Jakoż położył cesarz się na ścianie skały, strzelił i kozica padła. Uradowany cesarz podziękował za tę pomoc uprzejmie strzelcowi, w którego rękach było na chwilę literalnie jego życie.

Wypadek na polowaniu. D. 25. września Michał hr. Plater, polując w okolicy Kęt na kuropatwy, miał, jak donoszą *Czasowi*, wypadek, że potknąwszy się upadł, przyczem nabój śrótowy z własnej strzelby przestrzelił mu prawę rękę poniżej łokcia. Rannego przewieziono do zamku w Bulowicach, gdzie u swej siostry, p. baronowej Larisch przebywał. Nieszczęśliwy ten wypadek wywołał powszechne współczucie w całej okolicy, w której hr. Plater cieszy się wielką sympatyą i poważaniem.

Tysiąc dwieście kozłów zabił w swem życiu wyborny myśliwy, książę Ludwik Rohan, mający w Czechach i Morawie prześliczne knieje sarnie. Ostatni z tej pięknej cyfry kozłów padł już w sierpniu tego lata w lasach Chaustnickich w Czechach. Wiedeński *Fremdenblatt*, donosząc o tem, pomylił się o jedno zero, i przypisał księciu Rohanowi ubicie dwunastu tysięcy kozłów, przyczem nie zaniedbał zaraz obliczyć, ile to lat mordowanie ich trwać mogło. Spostrzegłszy się — *dass er auch einen Bock geschossen hat* — zredukował wprawdzie *Fremdenblatt* sam po kilku dniach tę cyfrę kozłów do 1200 — ale to już nie wiele pomogło, bo inne pisma głosiły i głoszą sławę ks. Rohana jako zabójcy 12.000 kozłów i ani myślą o poprawieniu pomyłki.

Transport danieli. Dnia 21. września przewieziono koleją nadwiślańską 15 sztuk danieli, przeznaczonych do zwierzyńca ordynacyi hr. Zamoyskich. Daniele pochodzą ze zwierzyńca pod Skierniewicami.

Z puszczy białowieskiej. Dziennik *Grażdanin* zamieścił następującą notatkę o puszczy białowieskiej: „Donoszą nam z Grodna, że dzięki nowemu zarządzającemu puszczą białowieską, p. Andrzejewskiemu, wymierające w owej puszczy resztki (około 200 głów) żubrów, mogą być ocalone od ostatecznej zagłady. Przed p. Andrzejewskim w puszczy dopuszczano się wszelkiego rodzaju nadużycia i kłusownictwa, tak, że w podobnych warunkach znakomita puszcza w niedalekiej przyszłości pozostałaby bez żubrów. Teraz do rzeczy zabrano się inaczej i żubr znajduje się pod rzeczywistą opieką.“ Przy tej sposobności *Grażdanin* przypomina, że poprzednio żubr istniał na Kaukazie, u źródeł Urupa Zieleńczuka i Łoby — obecnie zaś znajduje się wyłącznie w puszczy białowieskiej.

Dyplomata w kłopocie. Wiedeńska *Politische Correspondenz* donosi, że niedawno temu trafił się niemiły wypadek angielskiemu konsulowi w Niszu, w Serbii, panu Mac-Donaldowi. Polując, postrzelił on wieśniaczkę, co ujrzawszy pracujący nieopodal chłopi, rzucili się na konsula, związali go i odstawili do prefekta policyi w Niszu. Prefekt kazał p. Mac-Donalda natychmiast uwolnić i na drodze dyplomatycznej przeproszono go za niegrzeczne obejście się chłopów serbskich, niemających respektu dla myśliwych, którzy strzelają do bab, zamiast do zwierzyny.

Opieka nad słoniami. Król belgijski Leopold I. i władca kraju Kongo pierwszy udzielił opieki swej królewskiej słoniom. Wydał on rozporządzenie, na mocy którego wzbronionem zostało polowanie na słonie bez specyalnego upoważnienia. Jako karę za przekroczenie tego zakazu, wyznaczono 25 do 500 fr. i więzienia od jednego miesiąca do dwóch lat.

Nieudała egzekucya. W ogrodzie zoologicznym berlińskim miała się odbyć przed kilku tygodniami szczególnego rodzaju egzekucya. Jeden z olbrzymich słoni, który dobrze dał się we znaki służbie złośliwością i rozmaitemi grymasami, został skazany na śmierć przez powieszenie. Egzekucya miała się odbyć rano o godz. 7. W tym celu przygotowano stryczek z liny drutowej na trzy ćwierci cala grubej i z zachowaniem wszelkich ostrożności zadzierżgnięto go delikwentowi na szyję. Do operacji wyciągnięcia skazańca w górę użyto 42 ludzi i bloków. Lecz zaledwo spróbowano tylko słonia z miejsca ruszyć, nieokrzesany delikwent, nie rozumiejąc się widocznie na zabawie, jaką mu chciano urządzić, nacisnął na linę drutową tak, iż ta natychmiast pękła, zanim stryczek mógł na skórze jego wycisnąć choćby ślad najmniejszy. Uwolniwszy się w ten sposób od prześladowców, słoń przechadzał się dalej majestatycznie po swej klatce, nie troszcząc się zupełnie o przyrządy morderczę, jakiemi go otoczono. Dyrekcja ogrodu zoologicznego odstąpiła podobno raz na zawsze od zamiaru robienia podobnych prób z niewychowanymi dobrze skazańcami.

Ogłuszone ryby. *Odeskij Listok* donosi o ciekawem zjawisku. Dnia 13. sierpnia br. po burzy na rzece Dniestrze pod Mohylewem, ukazała się masa ryb, płynących po powierzchni wody. Ma się rozumieć, mieszkańcy nadbrzeżni nie omieszkali z tego skorzystać i łapali ryby cebrami z największą łatwością. Cena ryb w tym dniu tak spadła, że sprzedawano je po 45 kop. za pud. Według wszelkiego prawdopodobieństwa były to ryby, ogłuszone przez liczne pioruny, które uderzyły w wodę podczas burzy.

Praeter-propter (wyjątek z korespondencyi). ..„P. S. A niech mi także doniesie, ile tam *praeter-propter* cietrzewi może być w kniei Czarnobłockiej?“

Odpowiedź: „Donoszę pokornie Jaśnie panu, że cietrzewi *praeter* będzie 10, a *propter* 12.“

Poczciwy leśniczy rozumiał, że *praeter* to są koguty, a *propter* cieciorki.

Gdzie nagonka? — Hej, gajowy, a gdzie chłopcy z nagonki?

— Ta, proszę łaski pana, jak zobaczyli strzelbę u tego pana ze Lwowa, co to ma białe kamasze i tyle skrzydeł na kapeluszu — wszycy pouciekali.

Redakcya podaje do wiadomości, że z końcem bm. wyjdzie w ozdobnej oprawie **kieszonkowy kalendarz „Łowca“ myśliwski, rybacki i leśny na r. 1890.**, stanowiący niezbędny podręcznik i notatnik dla myśliwych i leśników, i będzie kosztował **1 zl. wa. = 1 rs. = 2 marki.**

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie